



ROK LVIII

NR 22

BLUSZCZ

TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 30 MAJA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Niebezpieczny dyletantyzm—P. O godność nauczyciela—K. S. Z badań nad przestępczością kobiet—Edward Rosset. Z rozważań o harcerstwie. Wiersze—Z. S. Nieznany autograf Narcyzy Żmichowskiej p. t. „Dwoiste Życie“ (c. d.)—z autografu wydała—Zofia Szmydtowa. „Chciałabym żeby mnie kochał poeta“—S. Szuchowa. Braterstwo ludów (dok.)—Marja Jehanne-Wielopolska. Zatrzymany zegar (powieść) c. d.—Wanda Młazewska. Księżna Anna Jabłonowska, wojewodzina bracka (c. d.)—Dr. W. L. Piękna Pamela (c. d.)—Karolina Bielańska. Z cyklu sylwetek—C. W. Kobieta w świecie i w domu—Z. B. Na marginesach życia—Andrea. Z teatrów—p. Dział praktyczny: Mody i roboty. Pantofelki dla rocznego dziecka, Królowa moda—W. Rewje mody—W. L. Roboty ludowe—A. Zaleska. Pielęgnowanie włosów (c. d.)—Dr. med. Julia Świtalska. Zdrowie naszych dzieci. Dekorowanie półmisków (c. d.)—Pani Elżbieta. Przepisy gospodarskie—Pani Elżbieta. Korespondencje działu praktycznego. Komunikat Biura Prasowego dla Spraw Kobięcych. Dodatek powieściowy „Okrety, które płyną wśród nocy...“ (c. d.)—Beatrix Harraden. ARKUSZ WZORÓW.

NIEBEZPIECZNY DYLETANTYZM



Współczesnej świadomości kobiety utrwała się przeświadczenie, że w wychowaniu młodej dziewczyny kwestja szczęśliwie obranego fachu jest rzeczą pierwszorzędną wagi. O ile dawniej kobieta sumiennie przygotowana do swej pracy zawodowej była rzadkością

— o tyle dziś — rzadkością i wyjątkiem staje się młoda dziewczyna, która prócz świadectwa z ukończenia szkoły średniej i umiejętności gry na fortepianie żadnego przygotowania do pracy fachowej nie posiada.

Już niejednokrotnie stwierdzano na łamach „Bluszcza“, że gdy dawniej kwestja wyjścia zamąż likwidowała wszystkie problemy pracy zarobkowej kobiety — o tyle dziś stworzenie własnego ogniska domowego wysuwa zagadnienie nowe: zagadnienie pogodzenia obowiązków życia rodzinnego z obowiązkami pracy zawodowej kobiety zamężnej.

Nieprawdą jest, że kobieta pracująca zawodowo lekceważy obowiązki domowe. Nieprawdą jest, że ognisko domowe takiej kobiety tchnie chłodem, pustką i opuszczeniem. Tak nie jest!

Jest wręcz przeciwnie. Kobieta pracująca zawodowo wkłada kolosalną dozę ambicji w to właśnie, by jej dom i życie nie ucierpiało z powodu jej zajęć fachowych.

Już dawno został wytracony z rąk przeciwników wyższego wykształcenia kobiet zwietrzyał

w swej mocy argument — że kobieta pracująca umysłowo jest odarta ze wszelkich uroków kobiecości — że jest jakimś stworzeniem rodzaju nijakiego o zaniedbanym ubiorze i odstrasającym wyglądem. Okazało się, że można mieć dyplom inżyniera chemji i być ubraną modnie i elegancko.

Co więcej — można być inżynierem chemji i jednocześnie panią domu i matką, wzorowo wychowującą swe dzieci.

I nie dość na tem.

Można robić to wszystko i bynajmniej nie należeć do wyjątków!

Tak! to nie są żadne bajki, ani opowiadki gwoli zbudowania maluczkich, to nie są kartki z żywotów kobiet na księżycu.

Tak jest w istocie.

Kobieta powojenna ujęła mocną i wprawną ręką młot swej pracy zarobkowej, ale jednocześnie trzyma ster życia domowego z tysiącem jego trosk i kłopotów.

I to jest *signum temporis* życia współczesnej kobiety.

Pod tym znakiem musi stać sprawa wychowania dziewcząt. Na tle dnia codziennego jest to ten najważniejszy i najbardziej istotny problem, który staje przed naszymi oczyma.

Przedewszystkiem — szczęśliwie dobrany zawód.

Co to znaczy szczęśliwie. To znaczy zawód, który się kocha, z którym wiąże się swe najszlachetniejsze ambicje, który nie jest kulą u nogi — ale skrzydłem u ramion.

Ale przede wszystkim szczęśliwie obrany zawód — to zawód, który da się pogodzić z obowiązkami domowymi kobiety, jako żony i matki.

A dalej? Sumienne i rzetelne przygotowanie do swego zawodu. Nie utykanie w pół drogi, kończenie studjów na pół dyplomie, lub porzucenie szkoły zawodowej w kilka miesięcy po rozpoczęciu kursu w nadziei, że „jakoś to będzie”.

Czy na tem koniec? Otóż tu leży sedno sprawy! Na tem nie może być koniec. To jest zaledwie jedna połowa życia kobiety. Pozostaje część druga, część istotna, sercu zawsze tak bliska — to, co stanowi urok życia, cel jego wysiłków, promień jego i światło — dziecko i dom.

I teraz miejmy odwagę przemyśleć zagadnienia konsekwentnie aż do końca.

Jeżeli z całą sumiennością, z całkowitem oddaniem wielu lat życia młoda dziewczyna przygotowuje się do swej pracy zawodowej — to pytam, dlaczego ten dział życia, który w przyszłości będzie absorbował tyle myśli i czasu — ma być oparty na całkowitej ignorancji!

Jeżeli nie możemy spełniać należycie naszych obowiązków zawodowych bez uprzedniego przygotowania, bez odbytych studjów — to pytam — jakim cudem możemy prowadzić dom, wychowywać niemowlę, jeżeli nie posiadamy w tym kierunku żadnych fachowych wiadomości.

Młoda kobieta wychodząc zamaż, staje wobec tysiącznych kłopotów natury gospodarczej, kłopoty te wzrastają niepominiernie, gdy w domu jej zakwili głosik dziecięcy, — a ona wśród tych wszystkich codziennych spraw, błąka się jak w lesie, marnuje wiele czasu i gotówki, popełnia cały szereg błędów, aż wreszcie kosztem nieproporcjonalnie wielkiego nakładu energii zdobywa t. zw. „doświadczenie”, które umożliwia jej jako tako „praktycznie” prowadzić własne gospodarstwo i pielęgnować dziecko. Ale... powiedzmy sobie szczerze, wszystko to od początku do końca nosi charakter „dyletantryzmu”. Mniejsza już o gospodarstwo. Ale dziecko.

Dlaczego zawsze to pierworodne dziecko musi

być przedmiotem eksperymentów i nieudolności, zupełnie do swych obowiązków nieprzygotowanej matki?

Instynkt powiecie? Istotnie! To wielka potęga — ale to nie wszystko! Dziś pielęgnowanie maleństwa oparte jest na tak dużej gałęzi wiedzy, że nie da się nigdy zastąpić instynktem.

Doprawdy śmieszny to i boleśnie karykaturalny obrazek, gdy nad kolebką najdroższego pierworodnego dzieciątka pochyla się młoda kobieta, posiadająca gruntowną wiedzę w zakresie swego fachu — a zdradzająca całkowitą ignorancję w sprawach swych obowiązków macierzyńskich.

A przecież tak ważna kwestja — jak kwestja organizacji wewnętrznego życia naszych domów nie może być oparta na przypadkowości i dyletantyzmie.

Gdy nasze babki wychodziły zamaż, miały na dobę dwadzieścia cztery godzin czasu, które poświęcały domowi — mogły uczyć się sztuki gospodarstwa domowego, a potem sztuki pielęgnowania dziecka długo i pomału.

Miały dużo czasu, a warunki gospodarcze były niepominiernie łatwiejsze niż dziś. Zresztą nic nie odrywało ich od domu i kolebki.

Dziś młoda kobieta zaledwie małą część swego czasu może poświęcić gospodarstwu, a od łóżeczka dziecięcego odrywa ją praca zawodowa. Nie ma więc czasu na powolne i pełne pomyślenie zdobywanie doświadczenia. Tak — nie ma czasu. To trudno! Życie nabrało większego tempa i tempo to wzrasta z każdym rokiem, z każdym dniem.

Każda praca musi być wykonana sprawnie, szybko i pewną ręką.

I to jest znów — *signum temporis*.

Płynie stąd prosty wniosek. Wychowanie młodej dziewczyny musi uwzględniać nie tylko fachowe przygotowanie do jej pracy zawodowej, ale musi dawać również znajomość stosunków i spraw gospodarstwa domowego, oraz znajomość zasad wychowywania niemowląt, gdyż te wiadomości zawsze przydadzą się każdej kobiecie. Każdej! to znaczy, nie tylko tej, która stworzy własne ognisko domowe i będzie wychowywać własne dzieci.

W przygotowaniu do realnych warunków życia każdej młodej dziewczyny musi wziąć udział nie tylko matka, ale i szkoła i to zarówno szkoła powszechna, jak i szkoła średnia.

P.

O GODNOŚĆ NAUCZYCIELA

W rozmaitych czasach i u rozmaitych narodów, rozmaicie było traktowane stanowisko nauczyciela. Godność nauczyciela była nie tylko regulatorem, ale zarazem i probierzem wartości społecznej i moralnej danego ludu.

„Starożytni Arjowie w Indjach — mówi St. Szczepanowski — wyżej ce-

nili dostojność nauczyciela (garu), aniżeli dostojność rodzicielską, bo mówili, że rodziciel jest tylko ojcem ciała, a guru jest ojcem duszy”.

Podobne zapatrywania spotykamy też u Hebrajczyków. A któż nie słyszał o czci i uwielbieniu, jakie żywili dla swoich nauczycieli

uczniowie Pytagorasa, Sokratesa, Platona? Do jakiego stopnia starożytni Grecy idaelizowali pojęcie nauczyciela, świadczy fakt, że wśród najcięższych zarzutów, jakie stawiano sofistom, był zarzut, że pobierają wysokie opłaty za naukę, że wogóle uczą za pieniądze. A czyż nie jest rzeczą wysoce charakte-

rystyczną: że w Rzymie, za cesarstwa, a więc w czasie, kiedy znikły już cnoty obywatelskie i opadał już republikański duch przodków—nauczycielami byli niewolnicy i wyzwolenicy.

Nie leży w moim zamiarze pisanie historii zapatrywań na stanowisko, rolę i godność nauczyciela. Chcę tylko podkreślić rzecz, tak świetnie ujętą przez St. Szczepanowskiego, że: „Społeczeństwo plutokratyczne i biurokratyczne, nie tylko obniża poziom charakterów w całym społeczeństwie, ale specjalnie poniża stan nauczycielski, redukując go do rzeczy kupnej za pieniądze, rangi i tytuły.“ A dalej: „Społeczeństwa wolne więcej zawsze kładą nacisk na wyrobienie charakteru, społeczeństwa biurokratyczne na wiedzę, lub raczej wytresowanie wiedzy—bo jedne potrzebują samodzielnych obywateli, drugie zaś płatnych sług—jedne żyją siłą społeczną, drugie rygorem biurokratycznym.“

Kiedy pod koniec wieku XVIII naród polski, a raczej część jego najbardziej wartościowa, wyteżyła wszystkie siły i całą ofiarność, aby na zasadach wolności społecznej uratować i utrwalić wolność polityczną—najwybitniejsi mężowie nasi uznali, że jedynie trwałym i pewnym sposobem osiągnięcia tych zamierzeń jest odpowiedni system wychowawczy. Powstała „Komisja Edukacyjna“, która zrywając z dotychczasową „tresurą wiedzy“, kładła silny nacisk na kształcenie charakteru. A jaką rolę wyznaczała w tem nauczycielom, jaką wagę przywiązywała do ich stanowiska, świadczą liczne pisma i przemówienia takich znakomitych przedstawicieli jak Czacki, Kołłątaj, Staszic. Dążenia te zostały zrealizowane w świetnym „Liceum Krzemienieckim“, które tyłu znakomitych wydało mężów. Niestety, upadek państwa polskiego przerwał te piękne tradycje.

Jakie były tendencje zaborców pod tym względem i jakie ich rezultaty—wiadomo. Godność nauczycielska, wtłoczona w biurokratyczny system czynów, stopni, rang,—jeśli nawet nie służyła wrogim celom, z konieczności pozbawiona była najistotniejszych swoich atrybutów: pełnego poczucia swobody i społecznej odpowiedzialności.

Pomijam te smutne czasy. Przechodzę do chwili dzisiejszej.

Jakie jest stanowisko, jaka rola, jaka godność nauczyciela dziś w Polsce wolnej, odrodzonej?

Odpowiedź na to pytanie trudna—jeszcze trudniejsze znalezienie zrozumienia dla tej odpowiedzi.

Państwo nasze jest ciągle w fazie powstawania. Ścierają się zdania, prądy, tendencje. Mam wrażenie, że w tej jak w każdej innej dziedzinie, oscylujemy między dwoma skrajnymi formami: między odziedziczonym po zaborcach biurokratyzmem, a wiejącym z „ducha czasu“ niezbyt zdrowo pojętym demokratyzmem.

W takiej sytuacji powstawać muszą sprzeczności w poglądach, a błędy w postępowaniu. Każdy prostaczek zna dziś dobrze te liczne, szczęśliwe, czy nieszczęśliwe próby i eksperymenty na polu polityki wewnętrznej, czy zewnętrznej, w dziedzinie skarbowości, wojska itd.

Sprawy szkolne są ogółowi mniej znane, społeczeństwo, a w pierwszym rzędzie prasa, uważa widocznie sprawy te za mniej ważne, mało interesujące.

Ale ci, którzy na te zjawiska nie są obojętni, którzy z uwagą śledzą rozwój ustroju i ducha szkolnictwa, wiedzą dobrze, że i ta dziedzina nie jest wolna od prób i sprzeczności. Do mieszaniny sprzecznych tendencji ogólnie państwowych, biurokratycznych z jednej, skrajnie demokratycznych z drugiej strony, dołącza się tu jeszcze specyficzna walka dwóch kierunków pedagogicznych: metod dawnych i metod nowych.

Łatwo powiedzieć, jakie stąd wyniknąć muszą niekonsekwencje. Nakłada się na nauczycieli obowiązki „samodzielnych obywateli“, a równocześnie daje im się prawa „płatnych sług;“ żąda się stosowania nowych metod, nie rezygnując jednakowoż ze starych rezultatów. Wymaga się, aby nauczyciel nie tylko uczył, ale wychowywał, aby swoją osobą, swoją własną indywidualnością wywierał silny wpływ na młodzież. Z drugiej strony podkopuje się powagę nauczyciela, poniża jego godność, ciągnąc krytyką i zarzutami dyskredytuje jego pracę na każdym kroku.

Jeśli niekonsekwencja jest szkodliwa w każdym postępowaniu—to w dziedzinie pracy szkolnej jest wprost zabójcza. Zniechęca nauczyciela, zmniejsza szacunek i karność uczniów, zakłóca harmonijny stosunek między władzami szkolnymi, a nauczycielstwem, między

młodzieżą, a ich wychowawcami, między domem a szkołą.

I tu muszę dotknąć jeszcze jednej sprawy, dość drażliwej i fałszywie zrozumianej.

Postawiono zasadę: nauczyciel powinien nie tylko uczyć, ale także wychowywać. Naturalnie—nie słuszniejszego! Ale trzeba w wychowaniu odróżnić dwie zasadniczo różne strony: wychowanie moralne i wychowanie fizyczne. To jest bardzo ważne.

Znajomy mój, profesor genialny, bardzo dzielny nauczyciel i wychowawca, powiedział mi raz w tej sprawie: „Każą nam być niańkami, prowadzić uczniów na spacer, zabawy, doglądać na pauzach, pilnować czystości i t. p. Wypełnianie tych funkcji obniża w oczach uczniów powagę i autorytet profesorów“. — I o samo zjawisko uderza nas zresztą w różnicy odnoszenia się dzieci do ojca i do matki, jeśli matka pełnić musi przy dzieciach t. zw. czynność niższego rzędu.

Wiedzieli o tem dobrze starożytni. U Greków byli specjaliści „pedagogowie“ („pais“—chłopiec, „ago“—pędzę, prowadzę), do prowadzenia, dozorowania, jednym słowem do opieki fizycznej. Nauczyciele („didaskaloi“) mieli kształcić, kształcić umysł i kształcić charakter.

Czy można bez szkody łączyć oba te zadania?

Mam wrażenie, że tylko w wyjątkowych wypadkach. Widzimy to zresztą bardzo wyraźnie w naszych szkołach.

Powaga i godność nauczyciela są w pracy wychowawczej czynnikami pierwszorzędного znaczenia. Obniżanie tych wartości—w jakikolwiek sposób—podkopać musi cały gmach wychowania publicznego.

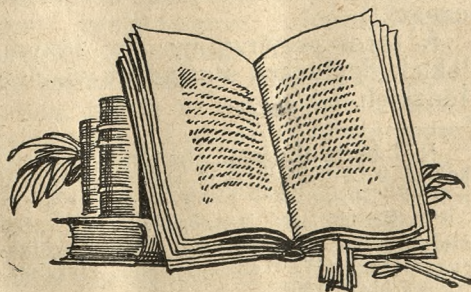
Już po napisaniu niniejszego artykułu doszła mnie wiadomość o wstrząsającym zajściu wileńskim.

Nie będę się rozpisywała o tem obszernie. Uczyniła to już prasa codzienna, która miała znowu sposobność przekonania się, że niestety i sprawy szkolne bywają niekiedy nawet sensacyjne.

Toczące się śledztwo wykryje niezawodnie sprawców i motywy smutnej tragedii szkolnej. Ale jakimkolwiek okażą się bezpośrednie przyczyny tego strasznego zajścia, można napewno przyjąć, że zjawisko to, jak wiele podobnych, choć mniej krwawych, ma tło o wiele głębsze, niż się przypuszcza.

Czy nie będzie usprawiedliwione przypuszczenie, że głębszego podkładu tych zjawisk szukać należy w dużej mierze w obniżeniu godności nauczyciela, w zmniejszeniu autorytetu i dostojęstwa szkoły?

K. S.



Z BADAŃ NAD PRZESTĘPCZOŚCIĄ Kobiet

PRZESTĘPCZOŚĆ WŚRÓD KOBIET W ŁODZI

Nie posiadamy wystarczająco obfitego materiału, aby zagadnienie przestępczości wśród kobiet oświetlić wszechstronnie. Możemy zaledwie, posługując się danymi statystyki miejskiej m. Łodzi, ustalić rozmiary przestępczości wśród kobiet łódzkich, a następnie określić ich udział w różnych kategoriach przestępczości. W tych właśnie ramach omówimy poruszone zagadnienie.

W ostatnim trzyleciu władze policyjne zarejestrowały na terenie Łodzi następujące liczby dokonanych przestępstw:

1922 r. — 35.850
1923 r. — 48.004
1924 r. — 40.668

Zauważyć należy, że pojęcie „przestępstwa” jest tu bardzo szerokie, obejmuje bowiem różnego rodzaju przekroczenia, jak np. przekroczenie przepisów, dotyczących meldunków, lub przepisów sanitarno-administracyjnych.

W związku z ujawnionymi przestępstwami aresztowano osób:

1922 r. — 4.603
1923 r. — 5.904
1924 r. — 3.130

Z powyższych liczb wynika, że w trzyleciu 1922—24 władze policyjne w Łodzi notowały średnio 114 przestępstw dziennie, przeciętna zaś dzienna liczba aresztowanych osób wynosiła w tym okresie 12.

O udziale kobiet w przestępczości świadczą następujące dane:

Wśród osób aresztowanych było kobiet:

1922 r. — 809 czyli 17,6%
1923 r. — 1.074 czyli 18,2 „
1924 r. — 670 czyli 21,4 „

Ogólny dla trzylecia 1922—24 odsetek aresztowanych kobiet wynosi 19. A więc średnio na każde 5 lub 6 aresztowanych osób przypada 1 kobieta.

W poszczególnych grupach przestępstw odsetek kobiet aresztowanych był w trzyleciu 1922—24 następujący:

Przestępstwo	Liczba osób areszt. w trzyleciu 1922—24		proc. kobiet
	ogółem	w tem kobiet	
Przestępstwa przeciwko władzy	268	18	6,7
Morderstwo i zabójstwo	87	27	31,0
Rabunek i rozbój	71	3	4,2
Uszkodzenie cielesne . .	219	17	7,8
Spędzenie płodu	48	40	83,3
Kradzież z włamaniem . .	595	76	12,8
„ bez włamania	5.218	1.268	24,3
„ kieszonkowa	748	59	7,9
Przywłaszczenie	138	20	14,5
Sprzeniewierzenie	71	9	12,7
Oszustwo	300	30	10,0
Wymuszenie	33	3	9,1
Paserstwo	144	29	20,1
Falszerstwo	168	21	12,5
Przestępstwa przeciwko moralności	201	61	30,3
Włóczęgostwo	1.472	408	27,7
Opilstwo	718	21	2,9
Zakłócenie spokoju publicznego	621	18	2,9
Inne przestępstwa	2.517	425	16,9
Ogółem	13.637	2.553	18,7

Uderza wysoki odsetek kobiet wśród osób, aresztowanych w związku z wykryciem morderstw i zabójstw. Przypuszczać wolno, że przeważają wypadki pośredniego tylko udziału kobiet w tych zbrodniach.

Cyfry, dotyczące aresztowań za opilstwo i zakłócenie spokoju publicznego, są niezgodne z odpowiednimi cyframi, zaczerpniętymi ze statystyki alkoholizmu. Ostatnie są bardziej wiarogodne, gdyż opierają się na indywidualnej rejestracji, i wykazują w 1924 roku 4.032 wypadki doprowadzenia osób pijanych do komisariatów policyjnych i 2.558 wypadków zakłócenia spokoju publicznego przez te osoby. Wśród zatrzymanych przez policję osób pijanych było kobiet 264, czyli 6,5 proc.; wśród osób pijanych, które dopuściły się zakłócenia spokoju publicznego, było kobiet 185, czyli 7,2 proc. Udział kobiet w omawianych kategoriach przestępstw jest więc w rzeczywistości wyższy, aniżeli wskazuje przytoczone wyżej zestawienie danych o przestępczości.¹⁾

A teraz przyjrzyjmy się danym, jakich dostarcza statystyka więzień łódzkich.

¹⁾ Edward Rosset, „Alkoholizm wśród kobiet w Łodzi,” artykuł w jednym z numerów „Bluszczu.”

²⁾ Dr. Gotlieb Schnapper-Arndt, „Sozialstatistik“ (Vorlesungen über Bevölkerungslehre, Wirtschaftsfis und Moralstatistik), Lipsk 1908.

W trzyleciu 1922—24 w więzieniach śledczych w Łodzi osadzono osób:

1922 r. — 4 578
1923 r. — 3.964
1924 r. — 3.830

Wśród więźniów śledczych było kobiet:

1922 r. — 880 czyli 19,4%
1923 r. — 767 czyli 19,3 „
1924 r. — 720 czyli 18,8 „

Ogółem w trzyleciu 1922—24 kobiety stanowiły 19,2 proc. ogólnej liczby więźniów śledczych, czyli średnio na pięciu więźniów wogóle przypadała jedna kobieta. Jak widać, stosunek procentowy jest tu mniej więcej taki sam, jak wśród aresztowanych, co jest zresztą rzeczą zrozumiałą z uwagi na zależność, jaka istnieje pomiędzy obydwu zjawiskami.

Przejdźmy do więzień karnych. W nich w trzyleciu 1922—1924 osadzono osób:

1922 r. — 1.531
1923 r. — 1.912
1924 r. — 1.720

Wśród więźniów karnych było kobiet:

1922 r. — 337 czyli 22,0%
1923 r. — 380 czyli 19,9 „
1924 r. — 375 czyli 22,6 „

Odsetek kobiet w więzieniach karnych jest nieco wyższy, niż w więzieniach śledczych, i wynosi dla całego trzylecia 1922—24: 21,2. Na kobiety w więzieniach śledczych przypadało 46 w więzieniach karnych.

Z przytoczonych danych wynika, że przestępczość wśród kobiet jest naogół pięciokrotnie mniejsza, aniżeli wśród mężczyzn.

Zjawisko mniejszej przestępczości wśród kobiet jest powszechne, a świadczą o tem statystyki różnych krajów. Schnapper-Arndt cytuje wyniki statystyki niemieckiej, według której stosunek procentowy kobiet skazanych do mężczyzn skazanych (nie zaś do ogólnej liczby skazanych) wyrażały następujące cyfry²⁾: paserstwo — 49,7, krzywoprzysięstwo — 42,4, ucieczka z aresztu — 36,1, kra-

dzień zwykła — 36,5, obraza — 35,2, morderstwo — 27,1, podpalenie — 21,6, sprzeniewierzenie — 21,0, oszustwo — 20,6, fałszerstwo dokumentów — 20,2, zabójstwo — 20,0, wymuszenie — 15,1, zakłócenie spokoju — 11,4, uszkodzenie ciała zwykłe — 11,4, ciężka kradzież — 11,0, niebezpieczne uszkodzenie ciała — 7,9, gwałt i groźby przeciw urzędnikom — 6,1, uszkodzenie rzeczy — 5,9, przymus i pogroźki — 5,7, bandytyzm — 2,5.

Jako przedewszystkiem kobiecie przestępstwo wymienia Schnapper-

Arndt kuplerstwo, nie uwzględnione w powyższym wykazie; wśród osób, skazanych za kuplerstwo, przypada 145 kobiet na 100 mężczyzn.

Zdaniem wybitnego statystyka belgijskiego Queteleta, udział kobiet w przestępczości jest niewielki wskutek mniejszej wśród kobiet skłonności do występku („penchant au crime”). Wspomniany uczony zaznacza, że kobiety później, niż mężczyźni, wstępują na drogę przestępstwa, a z drugiej

strony wcześniej niż mężczyźni, ją opuszczają. Według Queteleta maximum przestępczości przypada u mężczyzn mniej więcej na 25 rok życia, u kobiety zaś około 30 roku życia.

Schnapper-Arndt przytacza na zasadzie statystyki niemieckiej z lat 1886 — 95, że maximum przestępczości męskiej przypadało na grupę wieku 21 — 25 kobiecej natomiast na grupę wieku 30 — 40.

Edward Rosset

Naczelnik Wydziału Statystycznego
Magistratu m. Łodzi.

Z WRAŻEŃ O HARCERSTWIE

III. WSZECHSTRONNY ROZWÓJ CZŁOWIEKA — POSTULATEM WYCHOWAWCZYM HARCERSTWA

Już samo poznanie metod, jakimi harcerstwo kształci charakter, naprowadza nas na myśl, że harcerstwu obcą jest wszelka jednostronność w wychowaniu.

Hasłem wychowania harcerskiego jest harmonijny rozwój pełnego człowieka.

Dziś rozwijaniem umysłu młodzieży zajmuje się przeważnie szkoła, w tę zatem dziedzinę harcerstwo ingeruje najmniej, kładąc nacisk na dwie pozostałe.

Trzeba jednak zrozumieć, że o ile harcerstwo wyrzeka się pewnej dziedziny pracy na rzecz kogo innego, to nie znaczy to, aby samo owej dziedziny nie doceniało. Zresztą w programach pracy harcerskiej znajdujemy bezwątpienia trochę pracy intelektualnej, jak np. poznanie ustroju Polski, zasady higieny i t. p. Jednakże celem tych rzeczy będzie nie kształcenie umysłu, a zdobywanie pewnych wiadomości i budzenie pewnych zainteresowań. Będą tu, jak wskazywałam poprzednio, środkami do kształcenia charakteru. Jedynie może kształcenie zmysłów, wchodzące w program prac dla młodych, ma bezpośredni związek z kształceniem umysłu. Gry, kształtujące pamięć, rozwijające spostrzegawczość bezwątpienia mają pewien wpływ na intelektualną sprawność dziecka.

Czynnikiem, na który jednak harcerstwo kładzie największy nacisk, będzie bez wątpienia charakter człowieka. Nie będę zatrzymywać się nad tem zagadnieniem, gdyż starałam się je już wyjaśnić w artykułach poprzednich. Można-

by oczywiście kwestjonować wartość harcerskich metod kształcenia charakteru, co słyszy się nieraz od przeciwników harcerstwa. Sama w metodach naszych widzę jedną zasadniczą wadę: wymagają one odpowiednio przygotowanych jednostek do ich realizacji — w przeciwnym wypadku zawodzą. Metody harcerskie — według Baden-Powell'a — są jak kij, który ma dwa końce, a bardzo łatwo jest chwycić za niewłaściwy koniec kija. Jednak zagadnienie zapewnienia harcerstwu odpowiednich kierowników nie leży w płaszczyźnie metod pracy, a organizacji, przeto teraz zatrzymywać się nad niem nie będę.

Przejdziemy z kolei do trzeciego czynnika: do wychowania fizycznego.

Znane powiedzenie, „duch mocny, chociaż ciało mdłe” było niebezpiecznym złudzeniem, które zaciemniało zdrowy pogląd na wychowanie człowieka. Dziś jest dla każdego chyba rzeczą oczywistą, że człowiek nie może być mocnym psychicznie, o ile jego własne ciało wyrywa mu się z pod władzy. Bodajże jeszcze w większej mierze niż mężczyzn, dotyczy to kobiet.

Racjonalne postawienie sprawy wychowania fizycznego młodzieży jest jedną z większych trosk harcerstwa. Dziś gdy żyjemy w okresie kultu dla siły fizycznej, roznamiętnienia do sportowych rekordów, realizowanie racjonalnych metod wychowania fizycznego nie jest rzeczą łatwą. Pierwszą trudnością będzie tu odpowiednie „nastawienie” młodzieży: odwrócenie jej od sportów szkodliwych dla zdrowia, a skierowanie na drogę prac, dla wychowania cielesnego pożytecznych, choć może mniej niż tamte pociągających.

Drugą trudnością jest brak należytych teoretycznych podstaw wychowania fizycznego. Dziś, gdy każdy dzień przynosi nowe zdobycze naukowe w dziedzinie fizjologii człowieka, wychowanie fizyczne zmienia swoje metody z szybkością, za którą trudno czasem podążać. Nie mogą zważać na te trudności nauczyciele gimnastyki, więc też i kierownicy harcerscy muszą sobie i z tem zdawać radę.

Zasadniczym postulatem wychowania fizycznego jest to, aby nie brali się do niego ludzie niepowołani. To też w harcerstwie mamy dziś duży procent fachowych kierowników wychowania fizycznego. Dbają oni przedewszystkiem o to, aby młodzież nie rozwijała się jednostronnie, uprawiając np. tylko jedną gałąź sportu, lecz pobudzając do równomiernego oddawania się gimnastyce, grom i sportom.

Jeśli jeszcze weźmiemy pod uwagę stawiane młodzieży wymagania stosowania w życiu zasad higieny oraz dążenie do zapewnienia jak najdłuższego pobytu na świeżem powietrzu przez wycieczki i obozy, rozumiemy, że na rozwój fizyczny młodzieży harcerstwo zwraca należyłą uwagę.

Jednakże postulatem harcerstwa będzie nie tylko sam rozwój harmonijny człowieka, ale pobudzenie każdej jednostki do świadomej pracy w tym kierunku. Ideałem naszym będzie człowiek, dbający o pełny, harmonijny rozwój swych cech psychicznych i fizycznych. Że jest to jednak tylko metoda, która daje drogę do realizowania w życiu społecznym pewnych wartości ideowych i etycznych, w to nie wątpi chyba nikt.

DO RADOŚCI

(z Szyllera)

O radości, iskro bogów,
 Córkę elizejskich stron,
 U świętości twoich progów
 Czczym cię z pjanym ogniem łon.
 Twój niebiański czar zespala,
 Co rozprzegła srogość wód.
 Do braterstwa świat zniewala
 Skrzydeł twych powietrznych chód.
 Niech obejmę was, Miljony!
 Wszemu światu uścisk ten!
 Bracia, wśród nadgwiezdnych scen
 Ojciec mieszka uwielbiony.

Komu zyskać przyjaciela
 Wypadł szczęścia wielki los,
 Z miłą swą kto byt podziela,
 Niech radosny wmesza głos.
 Tak, kto jedną choć istotę
 W kręgu ziemskim swoją zwie.
 A kto nie — ten ma zgryzotę,
 Płacząc, niechaj cofnie się.
 Komu w kręgu tym mieszkanie,
 Współodczuciu winien cześć!
 Zwykło nas ku gwiazdom nieść,
 W Nieznanego królowanie.

Radość z piersi przyrodzenia
 Pije cały ziemski świat.
 Wszystkie dobre, złe stworzenia
 Idą w jej różany ślad.
 Pocałunek od niej, wino,
 Na śmierć wierny druh nam dan.
 W czerwiu, gdy nań dobra spłyną,
 Cherubina ujrzy Pan.
 Upadacie wy, Miljony?
 Świecie, Stwórcę swego znasz?
 Wzwyż gwiazd szukaj. Stwórca nasz
 Nad namiotem gwiazd wzniesiony.

Radość mocną dźwignią zgoła
 W przyrodzeniu wiecznem trwa.
 Radość, radość kręci koła,
 Wielki zegar świata pcha.
 Ona z pędów budzi kwiaty,
 Słońca z firmamentu tła,
 W dal przestrzenną rzuca światy,
 Których widza nie tkną szkła.
 Gdzie radośnie słońca płyną
 Przez wspaniałe niebios szlak,
 Nieście dróg promienny znak.
 Niech zwyciężkiem szczęściem slyną

Z ognistego prawd zwierciadła
 Radość mędrcom uśmiech śle.
 Cnoty stromy złom posiadała,
 Cierpiącego ku niej zwie.
 Na słonecznym wiary szczycie
 Widny jej chorągwi wiew.
 Poprzez trumien patrz rozbicie:
 Stoi, gdzie anielski śpiew.
 Cierpieć mężnie wam, Miljony!
 Cierpień celem — lepszy świat!
 Bóg nagrodzi mękę lat,
 Nad namiotem gwiazd wzniesiony.

Wdzięczność bogom nie wydola.
 Płknie wszak dorównać im.
 Nędza, znój wśród szczęsnych, zdoła
 Utrzeć radość w życiu swem.
 Gniew i zemsta niech przepadną,
 Łaskę naszą zyska wróg,
 By się łzą nie dręczył żadną,
 By sumienia nie znał trwóg.
 Niechaj szczerze nie długów księga!
 Rozgrzeszony cały świat!
 Bracia, gdzie nad gwiezdny ślad,
 Sąd nasz z Boskim się sprzysięga.

Z głębi kruży radość bije.
 W krwi złocistej winnych gron
 Ludożerca karność pije,
 Rozpacz — bohaterski ton.
 Wstańcie bracia! Chwila bliska,
 Kiedy pubar pójdzie w krąg,
 Niechaj piana w niebo tryska:
 Dar Duchowi z naszych rąk.
 Kogo gwiazd czczą kołowroty,
 Seraficki wielbi chór,
 Kielich ten Duchowi cnoty,
 Co nad gwiezdny wzniosł się zbór.

W srogich mękach — hart wytrwania,
 Pomoc, gdzie niewinność łka,
 Swym przysięgom — wieczność trwania,
 Druh, czy wróg — niech słuszność ma.
 Męza moc — gdzie królów trony.
 Bracia, warte mienia, krwi,
 Dać zasłudze jej korony,
 Zgubić rdzeń, gdzie kłamstwo tkwi.
 Ciśniej zwiążcie krąg ten święty.
 Wołec złotych wina kruż,
 Złóżcie ślub wierności z dusz,
 Ślub przy Władcy gwiazd poczęty.

Nieznany autograf Narcyzy Żmichowskiej

p. t. „Dwoiste Życie”



Młodzienc nie zwał na psa wiernego przestrożę, spał konia ostrogami i widziałam, jak mignął ponad rowem, jak się przyniżył, jak w górę podsadził znowu i dalej niby z koniem zrosnięty cwałował. Klasnęłam w dłonie dziel-nemu jeźdźcowi — usłyszał, obejrzał się, jednym targnięciem uzdeczki przytrzymując karego, stanął jak wryty na miejscu, zdjął czapkę i peł-nem wdzięku skinieniem głowy niby mię witał, niby za okłask dzięko-wał. Wtenczas dopiero, patrząc na twarz jego młodą, na czoło wzniosłe i spokojne, na pierście-nie jasnych włosów, co mu od skroni jakoby słońca promienie płynęły i patrząc na ciemną i szeroką ziemi rozpadlinę — na dąb zwalony, a rozlicznymi konary strzępiaty, wielki strach na wskroś mię przejął — na raz jedną myślą ogarnęłam wszystkie przypuszcze-nia — zrozumiałam, jak koń o drzewo piersiami mógł uderzyć, jak on przez kark jego się pochy-lić, głowę o pień roztrzaskać — krwią oblać i skończyć w oczach moich. — Żal serce ścisnął — żal nad niespełnionymi dniami jego młodości — nad bystrem poję-ciem, co wzrokiem błękitnych jego oczu przeświecało — nad skarba-mi uczuć i życia, co przyspieszo-nym oddechem łono jego wznosi-ły w tej chwili, jakby mu brakło powietrza — światła przestrzeni.

— Och! szalenie! zawołałam i gniewna i trwożna —

Uśmiechnął się cudny młodzian, zatoczył koniem, a ja ku niemu wychyliłam się bardziej jeszcze z okienka mojego i tak blisko ujrzelismy się na koniec, że mógł słyszeć półgłosem nawet wyrze-czone słowa.

— Oh! szalenie! powtórzyłam, czy on niema nikogo do ukocha-nia na ziemi?

Jeździec potrząsnął złotymi wło-sami, wznosił ku mnie piękną głowę swoją i wesoło odpowie-dział:

— Ja mam wszystkich, wszyst-kich swoich — ojca, matkę, siostry, braci i przyjaciół młodych grono i w przyszłości więcej jeszcze —

— To któż tak szczęśliwemu po-zwolił igrać z własnym życiem, jak

z kamykiem bez wartości, jak z leśnym owocem bez smaku? —

— Kto pozwolił? Ja sam chcia-łem, a chciałem dlatego, żeby mi kiedyś tak piękne ręce, jak twoje, pani, przyklasnęły.

— Osobliwa sprzeczność! rze-kłam sama do siebie niby, lecz tak wyraźnie, że ucho jego mogło dobrze najłżejsze nawet odcienia głosu mego pochwytać, osobliwsza sprzeczność! Czoło tak piękne, jako-by Duch Święty dotknięciem skrzy-dła swego upromienił je w myśli nad-ziemskie, w genjuszu tajemnice — a serce? Serce takie pełne dzie-cinnej pustoty i śmiesznej próż-ności tylko —

Rumieńcem oburzenia twarz mu pokraśniała, ale łagodnie i spo-kojnie mi odpowiedział:

— Jeżeli Pani w życiu swoim kiedy spotka człowieka, który zapragnie miłości twojej — a dla jednej chwili rozrywki, dla jed-nego wdzięcznych ust twoich uś-miechu, dla motylka, za którym twe oczy pobiegną, dla dziwactwa, dla niepodobieństwa, za którym chęć swą lub marzenie ciśniesz — człowiek ten nie będzie gotów w każdej chwili życia swojego poświęcić — oh! nie spoglądaj Pani ku niemu, nie wychylaj, jak wychylasz właśnie z pomiędzy kwiatów twojego okienka, sama kwiat cudny piękności i szczęścia — obojętnie mijaj go Pani — ten człowiek kochać nie umie.

Jeśli spotkasz takiego, co myśl wielką życzeniem i zamiarem rzu-cił przed siebie w przyszłość — ta-kiego, co powiedział sobie: „Chcę potęgę, mądrości, rozkoszy” — a później za pierwszą możliwość wyniesienia się, za jedną sylabę nieznanego ludzkości słowa — za najdrobniejszą okoliczność, naj-przelotniejsze zdarzenia, własnego życia na szali nie ważył — odwróć się prędko od niego i splunij (sic!) wzgardą, kobieto — Ludzie tego są warci jedynie, za co gotowi życie swe poświęcić — Bóg to im daje, za co umierać potrafią — Będzie kochanym — kto dziewicę swoją chociażby nawet do stóp rusztowania pogoni. Będzie sil-nym, kto poza niebezpieczeństwa do wielkości ręką sięgnie. — Bę-dzie mądrym, kto się przed żad-nem nie cofnie doświadczeniem i szczęśliwym będzie także, oh! szczęśliwym ten jedynie, kto dla

dziecinnej pustoty jak dla wiecz-nego zbawienia, za wielkie nic, jak za wielkie wszystko nie poża-łuje karku nadkręcić sobie — głowy roztrzaskać nie będzie się lękał. — Takiego, Pani, ty pokochasz. Kie-dyś za takim będą tęsknie ciemne oczy twoje wyglądały i od takiego gdzieś z przed bezdennej prze-paści uszczknięty listeczek za rąb-ki twej sukienki na bijącym zło-żysz sercu.

Kończąc te słowa, młodzian zręcznie się przygiął w pełnym czci pokłonie i znowu podciął ko-nia i pędził daleko — a ja widzia-łam bieg jego niewstrzymany, dziki, szalony. — Nagle rozwarła się przed nim nowa zupełnie, straszna, lecz zachwycająca w straszliwości swojej okolica. — Ścieżkę, wiodącą do niej rozerwał potok zapieniony, wściekły — a ścieżką ową było tylko ciasne przejście wśród zwie-szających się dokoła urwisk gra-nitowych. — Olbrzymie góry ster-czały ku niebu lodowatemi igli-cami swych szczytów — czarne wąwozy, przepaściste rozpadliny wiły się i rysowały w różnych kierunkach, niby jakieś potwornej wielkości, nieruchome gady — jedna z tych rozpadlin przepęłzła aż do samego wierzchołka, prawie tuż za potokiem wznoszącej się skały — w jej załomie rósł kwiatek maleń-ki — ale to chyba kwiatek cza-rów, lub świata innego, taki pię-kny, dziwny taki. — Listeczki jego korony bielsze były od białych śniegów, przed którymi się w głę-bsze wydrążenia wchronił — świeciły metalicznym najczystszy sreb-ra blaskiem, a gdzieindziej płynęły po nich żyłki purpurowe, jak wzory kapryśnem migotaniem słońca malowane. — Dotychczas Bóg sam jedynie przypatrywał się niepoka-lanej śliczności tworzywa swo-jego, — teraz padło na nie spoj-rzenie szalonego jeźdźcy i ze spoj-rzeniem myśl w głowie błysnęła: „Ona mieć musi ten kwiatek, jej tak do twarzy będzie, gdy go w ciemne upnie włosy”. — Za spojrzeniem, za myślą koń i mło-dzian w szumiący potok skoczyli. Zrazu woda ich całkiem schło-nęła, — potem zaczęła wśród wrzającej piany wygięta szyja ka-rego, zaświeciły jasne młodzieńca włosy i zaczęła się nierówna, nie-podobna z wzburzonym żywiołem walka — to się zdawało, że jeź-

dziec już — już obiema wyciągniętymi rękami za nadbrzeżne chwytła trawy — to znowuż fala porywała go z sobą i niosła między rozbitych granitów najeżone szczątki. — Mnie w piersiach życie zawisło — serce bić przestało, nie czułam trwogi, ale czułam jakąś niewypowiedzianą ciekawość — jakieś przesilenie wrażeń i uczuć — byłabym chciała ręce ku tonącemu wyciągnąć — ginąć z nim razem lub mieć go przy sobie na otarcie zmoczonych włosów jego, na złożenie do spoczynku pięknej jego głowy — a tymczasem śliczny kwiatek na górze chylił się wiatru powiewem i niby słał pokłony zuchwałemu młodzieńcowi i niby wołał go do siebie, jak przynęta, jak pokusa... Młodzieniec sił już dobył ostatnich, woda na wierzch go podrzuciła — pchnął się z koniem raz jeszcze i nagle... głos jakiś ozwał się przy mnie:

— Cóż to jest panience, że taka blada i zmieniona?

Był to głos Magdusi, służącej mojej. — Pocziwa dziewczyna od jakiegoś już czasu weszła do mego pokoju, a widząc mnie tak nieruchomie za okno wychyloną, chciała zobaczyć, jakim też to ja dziwowom z równem zajęciem się przypatruję. — Zobaczyła dziedzińiec pusty — ogród milczący — drogę i pola i łąki samotne i nie widziała nic więcej, dopiero na mnie spojrzawszy, aż się przeleknęła bladej mojej.

— Co też to jest panience? powtórzyła razy kilka, lecz ja żadnej nie dałam jej odpowiedzi — uśmiechnęłam się tylko i czoło ręką przetarłam. — Śliczny dziś mamy poranek, rzekłam jej wreszcie po chwili milczenia.

— Ale panienka chora, to niedobrze.

— Mylisz się, Magdeczko, zdrowsza jestem niż kiedykolwiek — chciałam dzisiaj mieć kwiatek na głowie — idź do ogrodnika, niech poszuka w oranżerii kwiatka białego z purpurowymi żyłkami, tylko mu powiedz, że korona jest pełna, jedrna i lśniaca jak srebro — łodyga lekkim puszkciem osłonięta, liść szmaragdowo zielony — dziwacznie, z największą delikatnością ząbkowany — miękki i aksamienny, jak u geranium. Kiedy



kwiatkowi zimno, to się listeczki wkoło niego tulą, niby osłony ci-chutkie koło dzieciny w kolebce — a kiedy mu słońce świeci to wszystkie drżą tak i szeleszczą, jak gdyby się jasności i pogódzie radowały.

— Powiedz mi pani lepiej nazwisko tego kwiatu, to Makary prędzej trafi do niego.

— Ignotus valorosus.

Magdusia wybiegła, ciągle sobie te dwa słowa powtarzając — za kwadrans wróciła z ogromnym bukietem w ręku.

— Makary kazał pani powiedzieć, że nie zna żadnego kwiatu, ani nazwiska takiego, lecz inne do wyboru przysyła.

Były kamelje, były rododendrony ponsowe i wiele innych bardziej wyszukanych jeszcze — nie wzięłam żadnego. Magdusię przekonałam, że się w wymawianiu nazwiska pomyliła.

Od tej chwili zaczyna się dla mnie nowe i doskonalsze życie. Władza, przez którą mi danem jest rzeczywiste wrażenia z urojeniami obrazkami łączyć, odkryta to niespodzianie i przypadkowo — zapytaniem Magdusi potwierdzona, stała się wkrótce górującą ducha mojego władzą. — Przez nią objełam w posiadanie całe niebo i całe piekło, których dziś jestem królową.

Z autografu wydała

(D. c. n.)

Zofia Szmydtowa.

„CHCIAŁABYM ŻEBY MNIE KOCHAŁ POETA“

Marja stała w otwartym oknie. Powieki jej, lekko odchylone, były jak półpeknięty owoc, z którego tryska sok życia. Nieświadoma, niewinna pewność piękności, niezawodność uroku, stulały spokojne usta. Uszy zatopione w ciepłe włosy czekały na falę słów, niosących zachwyt.

W małym prostokacie okna, olbrzymi zielony ogród stał i wzywał Marję. Jak pachnie... myślała Marja. Wiosna ma tylko parę chwil, kiedy jest taka upajająca i dlatego bolesne jest wtedy mijanie godzin...

Wzięła ze stolika tom wierszy i wyszła do ogrodu.

Zanurzyła się w to kryniczne powietrze przezłoczone słońcem. Szła alejkami jak królowa. Czuła się streszczeniem i wzmoczeniem piękności błyskających zewsząd. Czuła cudowną zgodę między jego i swoją młodością.

Oto triumfujące życie, moje i Twoje, niewinne i ukochane — zdawały się mówić osiemnastolet nie oczy, błądząc po kwiatkach, po drobnolistnych, a bujnych gałęziach.

Marja czyta wiersze i czasem ona, czasem ciepły wiatr przewraca kartki. Jakież słowa dziś mocne każde świeci i pali jakbyz soczewki odbite.

Jak tu dobrze... myśli Marja,

kładąc policzek na chłodnych kartkach książki. Czegóż pragnąć więcej, czegoż chcieć jeszcze...

I nagle najczulszym zapłonęła marzeniem:

Chciałabym, żeby mnie kochał poeta!

Chciałabym, żeby przezemnie stało się, że tak musiał mówić. Chciałabym jego smutków, jego trwogi, jego nieśmiałej nadziei, ach tak, jak powietrza, wody i słońca chciałabym od życia niepokoju jego wielkiej duszy! Gdybym się stała jego miłością i pieśnią! nie bolałaby mnie może krótkość godzin wiosny. Wszystko, wszystko co tu jest, co mnie otacza, jak zjawia mająca zniknąć, zatrzymało.

by na wieczność swój urok. Ten skrawek nieba między topolą i topolą stałyby się wielkiem wydarzeniem miłości, a ten szary płot i puszasty modrzewie nie minęłyby nigdy, Fala wspomnienia przyływałyaby drobna, podstępna i chyża między wielkimi, huczącymi falami czasu, niszczącego życie. I cichutko śmiałyby się ze zniszczenia, śpiewając swą wieczną piosenkę czaru.

„Czy pamiętasz nad Alp śniegiem
Rozwieszone Włoch błękity“...

Marja położyła się na ławce. Błękity—myśli—błękity—i niebo zniża się i zatapia ją. Byłabym sercem kwitnącego świata—marzy—i zasłania twarz dłońmi. Oto przez moje ręce, położone na tyle widzących oczach poety, różowieje świat, a zielona wiosna skacze między palcami, mieni się i faluje, jak ta srebrna woda, odbijająca ogród.

I znów czyta wiersze, zsypując z kartek naprószony kwiat.

„O byłeś ty mi jak młodość—jedyna,
Jak młodość, co się nie wraca. jak
kwiat,
Co tylko jednej wiosny czar zaklina...“

Tegoroczne bzy—myśli Marja—to dusza tej wiosny. Wstała i przytuliła twarz do bżów. Pachniały słodko. Przesunęła dłońmi po delikatnych licach, po swych długich włosach, uśmiechnęła się całą mocą czaru, spojrzała w przestrzeń tak, że gdyby istniały cuda Gracyj, spojrzenie to stałoby się nimfą, lub bożkiem: Jeśli przyjdzie, jeśli stanie na drodze mej Wiosny, czyż nie pokocha?

Ale na drodze, a raczej na drodze, stanął ktoś inny.

Furtka błysnęła w słońcu i zamknęła się w cieniach zieleni. Do Marji szła Hanna. Po białej sukni skakały plamy słoneczne. Dłoń z kapeluszem przybrany kwiatami przesyła poranne pozdrowienie.

Hanuś, Maryś!.. przyfrunęły do siebie, zaświergotały, pocałowały się mocno. Na kamiennej, baziarni zasypanej ławeczce siadły do rozkosznej pogawędki. W pogawędce tej, jak zawsze, Marja była despotycznie, nieświadomie i niewinnie królową, a pokora zasłuchanej Hanny nie miała w sobie nic upokarzającego.

Słońce padało ostro na cichą, nikłą twarzyczkę, na mizerny nossek i gładkie włosy.

— Jakaś ty śliczna—powiedziała Marji po raz tysięczny prawdę znaną, prostą i oczywistą. Patrzyła na przecudną barwę policzka, zwróconego do niej i w pył przesłaniających policzek włosów. Patrzyła z podziwem, bez cienia zawiści, ani żalu. Marja jest Marją, ma swój świat pragnień, równy jej pięknu.



Ma swoje wyjątkowe, od Boga dane prawa. A inne nie mają. No i już. Cała ta sprawa była dla Marji również prosta. Tak się stało. Stawało się od urodzenia z siłą rośliny, dążącej do wspaniałego rozkwitu. W swej pysze kwiatu piękniejszego od innych, Marja była skromna. Tylko raz, jeden raz, gdy przeczytały wiersz miłosny, i Marja zamarzyła o miłości poety, w tej samej sekundzie spojrzała na Hannę i bezwiednie zmierzyla odległość, jaka je w obliczu nadchodzącej fali życia dzieliła.

* * *

Pewnego sierpniowego wieczoru Marja i Hanna spotkały się nad rzeką. Dobrze żeś przyszła, że jesteś ns świecie, kachana! szepnęła Hanna. Chwyciła dłonie Marji i tuliła.

Biło od niej światło. Chciałam ci powiedzieć, Maryś taka jestem szczęśliwa, tak się wszystko niespodziewanie stało... Objęła ją za szyję. Widzisz jestem kochana. Nigdy, nigdy nie myślałam, nie marzyłam...

Hanko, co mówisz, no powiedz wszystko, kto cię kocha, no powiedz.

Kto? powtórzyła Hanna. Spojrzała oczami człowieka, który po raz pierwszy widzi świat i rzekła cicho:

— Poeta.

I zwróciła oczy w dal, za rzekę, na ciemniejszy już wschód. A Marja patrzyła długo na drobny policzek, na blade usteczka i głębokie, tajemne oczy Królowej stworzenia.

S. Szuchowa.

MARJA JEHANNE - WIEŁOPOLSKA

BRATERSTWO LUDÓW

(Rzecz o dziele Nieświadomości)

26. NIECH SPOCZYWA PEK BOULE DE NEIGE'ÓW, PRZEZROCZYSTY JAK AMPLA, RZUCONY Z KONIA NIEDBALE I OBRUCONY NA MIOTŁĘ W OBOZIE.

Czcigodny i łaskawy Panie Pułkowniku!

A cóż my nieroby, a częstokroć popsuje, innego dać Wam możemy, jak płomienną garść uwielbienia?!

To jest chyba najmniejsze, co ofiarować możemy, my, serca czułe, a leniwe. Najniklejsza to przeciwwaga Waszych cudnych działań, no i jadowitej napaści, którą Was nieraz inni karmią.

Zresztą tak nasze uwielbienie, jak jadowitość innych, to tylko marnie skrojony płaszczyk bierności, bezczynności, darmozjadztwa.

Nic więcej.

W głębi duszy, tak oni, jak my, wstydzimy się poprostu, żeście się dawali rwać na strzępy wtedy, kiedyśmy w słodkim farniente skutków Waszych wysieńczekali.

Jedni—może cokolwiek lepsi z gatunku homo sapiens, pokrywają ten wstyd purpurową płachetką niesieńi wielbień, gęstym dy mem rozkołysanych trybularzy—drudzy zaś tarczą, najeżoną kolcami inwek-

tyw i oszczerstw, trzeci szumnym frazesem o rozprawie, o dyplomacji, o polityce. Ale w gruncie rzeczy, jesteśmy jednacy w wartości, tylko my, uwielbiający, cokolwiek nudniejsi od tamtych...

Żeśmy nudniejsi i ciężej strawni niż tamci, wyraźnie powiada list Pański, dziękujący za ów pęk boule de neige'ów, któryśmy Panu „strześciennym” zyczajem podali. Otrząsa się Pan z moich powiedzeń, jak szlachetny koń, corazkę wpływ musiał przepływać. Nie szkodzi. Niech się Pan otrząsa. Nam zaś niech zostanie problematyczne uczucie zadowolenia, żeśmy spełnili obowiązek wobec najczcigodniejszego Gościa—chiński ceremoniał, idący nakazem wprost z serca.

Nie każde serce, Panie Pułkowniku, jest akumulatorem najdonioślejszej sprawy—są też takie choinkowe, na jedną modłę, trochę piernikową wykrojone, bardzo lukrowane, a kruche.

Niepotrzebnie Pan nam o tem przypomina, Panie Pułkowniku—pamiętamy! pamiętamy!

I łączymy wyrazy głębokiej czci. M. *)

Pęk boule de neige'ów, w otoce jesiennych, różnobarwnych swoich liści, cwałował wraz z jeźdźcem na koniu, sypiąc białe włókienka i taki prawie rozsypany, wyłysiały żałobny, znaleziony został przy obozie. Tam się nic nie marnuje. Skrzętne ręce żołnierskie podniosły pęk, związały go szpagatem u nasady i długi czas zamiatały nim przechody i ścieżyny, a żołnierz śpiewał na całe gardło:

...maszerują strzelcy, serca ich radosne zwiastują Ojczyźnie wyzwolenia wiosnę, gdy skończą z Nykołką, pójda na Wilhelma, odbić Wielkopolskę, co ją dławi szelma...

Pęk boule de neige'ów precudny poemat białej wiotkości, snu, zjawy, niebytu—stał się sprzętem realnym i poziomym. Taszczył przed sobą łupy z ziemniaków, ogarki z papierosów, koński nawóz i pudełka z tytuniu, co prawda tego, co najpiękniejsze, już na nim nie było.

Kwiat rozpląnął się wczas—bo nie tylko na krwi budowała się moja Ojczyzna. Także na kwiatach. Na śmierci kwiata.

27. MALWY, OPERLONE KWIATEM NIECHAJ ŚPIĄ, KTÓRE STRATOWAŁ POCHÓD TRE-NÓW, OD WSCHODU DO ZACHODU IDĄCY.

Nie przejdą!!!

Gdzieżby przeszli tak ordynarnie, tak nawałniczo, przez ów mur jak z bajki? przez te łodyżki strzeliste, wyprostowane ufnie, całe umajone kokardkami z tęczy!?

Były na nich kwiaty żółte, jak otellowa zazdrość, były różowe jak uśmiech dziewczynski, były liljowe, jak dłonie mężczyzn, były białe, jak sama niewinność, prześliczne, subtelne, ściśnięte kępkami dookoła stalowej łodygi.

Malwy!

Przez taki mur...

Mogły się parki widywać kochające, mogły się dłonie drżące i młode ścisnąć we wzruszeniu, mogły się przysięgi składać (niekiedy dotrzymane), mogły się usta nachylać ku sobie, wiśniowe i miłe, spojrzenia szukać nawzajem, jak gwiazdy—ale gdzieżby tamta ciżba rozpętana, coraz bliższa i bliższa, przechodzić chciała przez ów mur, przez ów granicznik anielski, przez tę fortecę serca uśmiechów? przez rabaty malw?

No i przeszli!!!

Pokotem położyli kolorową bajkę, obalili okólnik marzeń, stratowali pęk subtelnych, różowych i liljowych pocałunków, na zielonej łodydze złożone. Ani się obejrzeli na to elastyczne, puszyste cudo.

Tren szedł ze wschodu na zachód, w pośpiechu i nieładzie i drogi nie wybierał.

28. NIECHAJ TO ŚPI
NIECHAJ ONI WSZYSCY ŚPIĄ
SPOKOJNIE OD WSCHODU
DO ZACHODU, BRATER-
STWEM LUDÓW ZŁĄCZENI,
NA LĄDZIE I NA MORZU.

29. O CZARNY ŻOŁNIERZU OBCY!
O BIAŁY HINDUSIE Z SINGAPORE!
O KARY KONIU!
O KAMIENIU!
O SIOSTRO MOJA!
O MEWO!

*) Ustęp z listu, pisanego swego czasu do pułkownika Sławka.

30. BĄDŹ POCHWALONA WOJNO, PANI ŁASKAWA, PANI CUDEM SŁYNAĆA, PANI SZCZODROBLIWA!

NIECHAJ SIĘ TERAZ PRZELEWA ZBRODNIA, GRABIEŻ, ŁAJDACTWO, OSZCZERSTWO, PRZEKUPSTWO: DZIECI TWOJE NIEZAPRZECZONE!

TY JESTEŚ CZYSTA, TY JESTEŚ PIĘKNA, POCHWAŁY GODNA, UWIELBIONA!

31. WILCZYCO PŁODNA, U KTÓREJ WYMION ZAPIŁY SIĘ LUDY KRWIĄ NA ŚMIERĆ, ABY NIKT NIE PATRZAŁ, NIKT NIE PRZESZKADZAŁ POWSTANIU MOJEJ OJCZYZNY.

32. O KLIBLAH! ŚCIANO MECZETU, ZWRÓCONA NA ZAWSZE KU MECCE!

WIEŻO BABEL, CUDEM POMIESZANYCH GWAR SZUMIĄCA!

BARYKADO FANTASTYCZNA, W POGMATWANIU OKRUTNEM PROPORCÓW!

KOLUMNNO MEMNONA, PŁACZĄCA O ŚWICIE NIESAMOWITEM WYCIEM!

WYJ! PŁACZ! TARZAJ SIĘ W BÓLU, RWIJ SZATY!!!

33. WSZYSTKO BYŁO WSZAKŻE NICZEM, WOBEC URODZIN MOJEJ OJCZYZNY.

KONIEC

Sierosław 7 lutego 1925 roku.

W dziesiątą rocznicę stracenia bohaterskiego oficera I-lej Brygady Legionów: Stanisława Kaszubskiego-Króla.

Byłby uszedł śmierci, gdyby się nie był w śledztwie przyznał, że jest poddanym rosyjskim!

Ale Kaszubski był zdania, że nie egzystuje wypadek, w którymby polski oficer mógł kłamać.

Kiedy go zapytano, czy jest rosyjskim poddanym, odpowiedział krótko: tak.

Te trzy zgłoski powiodły go na szubienicę, w Pilźnie, 7 lutego 1915 roku.

WANDA MIŁASZEWSKA

7

ZATRZYMANE ZEGAR

(powieść)

Nie rozumiałam nic, ale kiwałam głową z przekonaniem, olśniona wiedzą Adasia.

Od stołu dobiegał nosowy bas pana Dziechcińskiego, sylabizującego jakiś artykuł w gazecie. Od czasu do czasu przerywało tę monotonną czynność odezwanie się kogoś z osób postronnych:

— Kładnij, duszo, dwójkę na asa! Taż leży od godziny jak wół, na stole... — jęknęła „ciocia Józia” wyciągając palec ku zatłuszczonym kartom.

— Aj, prawdaż, pani... leży! — stropiła się Balbina.

Znudzony mops uniósł głowę z poduszki i przeciągnął się leniwie, ziewając.

— Leżeć, Acan! — burknęła ciotka Eufemja. Złożyła druty i zdjąwszy z nosa okulary, przetarła je końcem szalika:

— No czytaj-że pan dalej o tym pomniku. Byłybyście tam ciszej z waszym głupim pasjansem!

— Taż nie głupi, Femciu! Taż to napoleoński... — protestowała pokornie pani Rymyszyna.

— Mama to zawsze... — podchwycił Adaś szeptem, schylając się ku mnie — A dz adzio Juliusz powiada, że Napoleon był kiep, bo się dał pobić pod... pod... jednym miejscem, które się bardzo trudno nazywa. Ale ty i tak nic nie rozumiesz. Ty nawet nie wiesz, co to znaczy Napoleon.

— A właśnie że wiem — zaświtało mi w głowie wspomnienie. — U mamusi w kuferku jest Napoleon, zawinięty w czysty papier. To nawet tatuś go malował! — dorzuciłam z poczuciem uzasadnionej dumy.

— Ciocia Femcia mówiła, że twój tatuś był dureń, bo malował takie obrazy, których nikt nie chciał kupować. No, nie rób że takiej beksiwej miny! Ja wiem, że twój tatuś wcale nie był dureń... Ale zawsze ciocia Femcia powiedziała... A mój tatuś buduje kolej w Rosji, wiesz? A jak ją zbuduje, to przyjedzie tutaj, przywiezie dużo pieniędzy, kupi mi kuca i rewolwer z prawdziwymi kulami, aha! I nie będziemy już mieszkali w Klimontowcach!

Duże, dziecinne łzy kręciły mi się w oczach na te słowa. Wszystko, co mówił Adaś, było takie wspaniałe, prawie czarodziejskie, jak historie Balbiny. Nie znałam

wówczas słowa „zazdrość” ale marzyłam, aby się chociaż raz, chociaż na chwilę znaleźć na miejscu Adasia.

Pamiętam, że owego właśnie wieczoru, klęcząc przy pacierzu, modliłam się półgłosem:

— O Boże, zrób, żebym ja była Adasiem! Zrób tak, żebym to ja była Adasiem...

— Co ty tam mruczysz, Krysiuniu? — spytała mama z głębi pokoju. Odpowiedziałam szczerze:

— Bo ja proszę Bożi, żeby mnie zmienił w Adasia... A ciebie w ciocię Józję, żebyś nie przestała być moją mamusią, — dorzuciłam pośpiesznie — I żeby nasz tatuś budował kolej i żeby przywiózł dużo pieniędzy...

— Dlaczego modlisz się o to Krysiu? — rzekła mama.

— A bo wtedy... Bo wtedy byś mi kupiła dużo ładnych rzeczy i byśmy nie mieszkali w Klimontowcach...

Biedna mama pewnie płakała tego wieczoru. Pewnie myślała z bólem, że jej córeczka naprawdę czuje się pokrzywdzona, skoro takie układa modlitwy. A przecież wtedy było mi bardzo dobrze na świecie. Gdy teraz myślę o tych latach minionych, wspominam je z głębokim żalem, jak jasne, złote pasemko szczęścia. Ciotka Eufemja umiała gderać, jak nikt inny, ale umiała także i pochwalić czasem. Balbina — to była jedna niewyczerpana skarbnica opowieści tak dziwacznych i cudnych, że otwierałam usta z podziwu, słuchając. Kochała mnie serdecznie i pieściła, a nawet psuła potrosze. W biednej mojej matce odnajdywałam zawsze krynicę słodczy, kojącą każdy ból, zmywającą każdy smutek przełot z dziecięcej duszyczki...

A ten kochany, choć czasem psotny i dokuczliwy Adaś! A ogród klimontowski, pełen niezgłębionych tajemnic! Ten ogród, ten kraj zaklęty należał tylko do nas dwojga: do Adasia i do mnie...

Kiedyś, po latach, chodziło tam znowu „nas dwoje”, chociaż Adasia dawno zbrakło w Klimontowcach.

Dzieciństwo pierzchnęło bezpowrotnie, lecz w cieniu starych drzew po dziś snują się czarownice srebrnych pajęczyn: wspom-

nienia najśłodszych, najmilszych snów...

A jednak wtedy, biegając boso wśród gąszczów leszczyny, byłam szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Pomimo smutnych oczu matki, pomimo lęku przed ciotką Eufemją za jakieś „przeskrobanie” dziecięce, pomimo straszliwego widma codziennych „robótek”...

Ach, te robótki! Ciotka miała wogóle niewzruszone zasady, a do nich zaliczała w pierwszym rzędzie umiejętność władania igłą i narparkiem. Miałam zaiedwie pięć lat, a już znałyłam krzyżykami małe skrawki płótna, specjalnie na ten użytek przechowywane w szufladach staroświeckiej komody. Gdy już umiałam znaczyć, obrębiać i szyć równiutko, „za igłą” przysła kolej na hafty, mereżki i „frywolitki”, nad którymi wypłakiwałam oczy. Tak trudno było trzymać cienkie niteczki, owinięte na dłoni i liczyć małe pętelki, z których powstał skomplikowany deseń... Tak łatwo było omylić o jedno, jedyne oczko... Na domiar złego, owa „godzina robót” przeciągała się często do obiadu.

Pamiętam, jak matka mówiła kiedyś do Emilki:

— Żebyś ty chociaż, Emilciu, wstawiła się do Ciotki... Ciebie prędzej wysłucha... Czy to podobna trzymać dziecko tyle godzin bez ruchu! Biedactwo jeszcze wzrok straci! Już teraz, widzisz, jakie ma zaczerwienione powieki... A rano, to tak oczkami mruga...

Ale ciotka była nieubłagana.

— Niech się uczy! — strofowała Emilkę, mamę, ciocię Józję, każdego, kto się ośmielił wziąć mię w obronę — Niech się uczy za młodu. Roboty ręczne jeszcze żadnej kobiecie nie zaszkodziły. Lepsza igła w niewieściem ręku, niż te tam wasze różne, mądre książki, od których się wam w głowie poprzewracało. Jak wasze matki i babki po piętnaście lat robiły ornat do kościoła, to na romanse i bzdurstwa czasu nie stało! Z tej waszej nauki taki zysk, że co druga w rok po ślubie ręce łamie i na swój los narzeka... Za wasze życie odpowiadać nie mogę i nie myślę, ale Krysię wychowam po swojemu. Zrozumiano? Wdzięczna mi kiedyś będzie za to!

Siedziałam więc skulona na niskim stołeczku u stóp otyłej damy i uczyłam się różnych ściągów, których liczba zdawała się nieskończona. Gdy w robocie okazała się najmniejsza niedokładność, ciotka Eufemja pruća wszystko i oddając przybrukany kłak nico mówiła tylko dwa słowa:

— Od początku.

I musiałam zaczynać od początku. Po dziesięciu minutach czułam szum w głowie, ból w krzyżu i szpilki pod powiekami. Tłumiąc gorące łzy, liczyłam oczka jaknajstaranniej, by się przypadkiem znów nie omylić.

Liczyłam, liczyłam, liczyłam...

A za otwartym oknem nieznośny Adaś ogradzał patyczkami nasz pałac z piasku, albo uganiał się konno dokoła klombu na lasce olszowej, albo, jeśli to było jesienią, obrywał z krzaka owoce spirei, rozdeptywał je w moich oczach obcasem, a gdy pękały z trzaskiem, wołał do mnie śmiejącami oczami:

— Aha! Widzisz! Nie przyjdiesz? Wystrzelam wszystkie kulki, co do jednej, a ty nie możesz nawet krzyknąć, bobyś dopiero od cioci Femci usłyszała kazanie! Siedź sobie i dłub tę idjotyczną robotkę!

Dławiłam się łzami i śledziłam nieruchome, okrutne wskazówki zegara, który tak wolno odmierzał czas.

XI.

Ostatnią georginję przyniósł mi dzisiaj do szkoły Teoś, ten z dużą głową, wnuczek babiny, która tak bardzo prosiła, aby się malec jak najprędzej nauczył czytać „na książkę“.

Nazywa się ta kobieta Wątkowa, a mąż jej, stary, kulawy i łysy jak kolano człowieczek wartuje w opustoszałym dworze podczas nieobecności właścicieli, którzy się gdzieś z czasu wojny zawieruszyli na obczyźnie.

Wątkowie nie pochodzą z tych stron, a z jakiejś wioski na Mazowszu, w majątku służy od niedawna. Mieli jedyną córkę, którą wydali nieszczególnie zamaż. Owidowała wkrótce i sama zmarła, zostawiając dziecko — właśnie Teosia.

Jedynym, najgorętszym pragnieniem starej Wątkowej jest to, aby się chłopak dużo i dobrze uczył:

— Bo on już lata ma i tylko w sobie taki chuderlawy... —

objaśniła na wstępie, przyprowadziwszy chłopca po raz pierwszy do szkoły.

Rzeczywiście — chuderlawy Teoś ma przeszło ośm lat, jak wykazuje metryka. Ma również wielką do książki ochotę i bardzo pilnie się uczy, tylko zdolności Bóg mu poskąpił. Jakże to wytłumaczyć kobiecie, która jest zaślepiona w swym wnuczku i świetny los dla niego obmyśla!

— Niech tylko dożyjem, proszę paniusi, żeby chłopak szkołę powszechną skończył. Do miasta go wtedy wyślemy, na naukę. Później, to on sobie i bez nas rady da, w mieście nie trudno o zarobek. A potem Teoś felczerem zostanie, a może nawet — księdzem...

To, co mnie łączy ze starą Wątkową, ta niewidzialna nić sympatii, zawiązana przypadkiem przy Klimontowskiej furtce, każe mi wielkich przykładach starać, by jednak Teoś nie zawiódł babcinych nadziei.

Zaczęłam go więc zabierać do siebie na dodatkowe „kursy“ czytania i pisania. Mozolimy się codziennie z godziną nad dziwnym zjawiskiem, że „i,“ pisze się jak krótka pałeczka z kropką u góry, a „i,“ jak długa i — o dziwo — bez kropki.

— Ach... wykrzykuje mój Teoś radośnie — To teraz już wiem. I zabiera się do pisania z namaszczaniem. Sapie, przytem wysuwa koniuszek języka, pot mu występuje na czoło. Pisze małe „i,“ z kropką i wielkie, niezgrabne „i,“ — bez kropki. Trzeba tedy tłumaczyć.

— Przecież „i,“ to jest długa pałeczka — mówiła łagodnie.

— A prawda... — dziwi się Teoś, a w głosie jego drga nuta zawodu i żalu.

Zaczynam wykład od początku. Nareszcie Teoś napisał bez błędu wyraz „lala“ i tego popołudnia dumnie pomaszcerował do domu, wsunąwszy do kieszeni starannie złożoną kartkę z rzeczowym dowodem swoich postępów.

Miałam już nieraz tępych uczniów i wiem, że nie należy nigdy tracić nadziei, bo niewiadomo, kiedy zaświta w śpiącym mózdzku isierka świadomości, zbudzi się pierwsza myśl samodzielna, pramatka wszystkich następnych. A jednak, z racji Teosia, popadam chwilami w pesymizm, graniczący z rozpaczą, tracę wiarę we własne zdolności pedagogiczne. Czy to możliwe, by żadna metoda nie przystawała do

tego krnąbrnego umysłu? Po czterech tygodniach wprost nieprawdopodobnych wysiłków doprowadziłam zaledwie do tego, że malec poznawał niektóre litery, witając je z zadowoleniem, jak starych przyjaciół.

Panna Leonka nie może mi się nadziwić:

— Po co pani sobie tyle trudu zadaje z tym głąbem? Zostanie w pierwszym oddziale i koniec.

I wzrusza ramionami. Tłumaczę jej, jak mogę, że chłopiec jest pilny, że chce się uczyć i że muszę mu przecież w tem dopomóc, bo to mój obowiązek.

— Et, — machnęła ręką moja młodzianka koleżanka — z niego i tak nic nie będzie, zobaczysz pani.

A właśnie tego się lękam najbardziej. Obiecałam przecież jego babce. Nie, Teoś nie może zostać na drugi rok, przecież Wątkowa jest już bardzo stara...

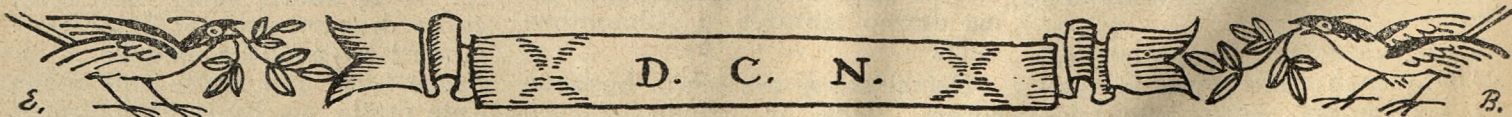
Ileokroć ogarnia mię zwątpienie, ileokroć tracę do reszty cierpliwość, przypominam sobie rozjaśnioną uśmiechem twarz staruszki, kiedy szeptała bezzębnymi ustami:

— A potem Teoś zostanie felczerem, a może nawet... księdzem...

Nie. Nie mogłam jej zrobić zawodu. Ona tak wierzy w mą obietnicę, tak mi ufa.

Staram się więc wykrzesać z chłopca tę odrobinę inteligencji, którą posiada. Nie jest on dzieckiem normalnym. Jego wybitnie duża głowa, jego karzełkowata postawa, okrągłe, wylupaste oczy świadczą o tem wyraźnie. Ojciec Teosia, o którym Wątkowie mówią niewiele i z niechęcią, musiał być albo nałogowym pijakiem, albo przechodzić ciężką chorobę, której skutki ponosi teraz Bogu ducha winna, istotka, mająca przecież takie samo prawo do życia, jak inne dzieci.

Odłożyliśmy na bok elementarz, daliśmy pokój krótkim pałeczkom z kropką i długim — bez kropki. Rozmawiamy ze sobą, jak przyjaciele. Wypytyuję chłopca o różne szczegóły z jego życia, układamy wspólnie małe opowiadania o tem, jak zginęła kura czubatka, jak się przyplątał do starego Wątka chudy, żółty pies, ten sam, który teraz pilnuje ich mieszkania i tak głośno szczeka na obcych. Potem mój Teoś rysuje kolorowymi kredkami pomarańczowego potwora na słoniowych nogach, podpisujemy pod tym arcydziełem wielkimi literami: Pies Bukiet i oboje zadowoleni jesteśmy z siebie.



DR. WACŁAW LIPIŃSKI

Księżna Anna Jabłonowska, wojewodzina bracka

(Ciąg dalszy)



dy wojewodzina bracka, księżna Anna Jabłonowska zwróciła swą uwagę na położenie stanu chłopskiego w Polsce i postanowiła choć w swych do-

brach położenie to zmienić i zreformować — stosunki na polskiej wsi w drugiej połowie XVIII wieku nie były ani świetne, ani dobre, ani nawet znośne.

Były długie okresy w dziejach naszych, kiedy stanowisko i położenie włościan polskich było niezłe, a nawet dobre, w każdym razie o wiele lepsze niż w innych krajach w czasach ówczesnych. Tak było do drugiej połowy XV wieku, kiedy to pan i dziedzic wsi, miasta czy miasteczka, był jeszcze w zbroję odziany, służył królowi rycerską swą pomocą. W tych krwawych, krzepkich czasach, kiedy to rycerz z pod Szamotuł nie wiele się jeszcze różnił od rycerza z pod Grunwaldu, kiedy to rzeczywistym zajęciem rycerstwa, szlachty ówczesnej była obrona kraju przed najazdem, w tych czasach Lelinitów, Nałęczów czy Grzymalitów — stanowisko włościan, przymuszanych do stałych danin pieniężnych, w zdewaluowanym pieniądzu, w stawkach, oznaczonych gdzieś jeszcze w XIII wieku, nadto powoływanych do robót w polu na rzecz pana, stanowisko to, jak się rzekło, było naogół niezłe. Chłop płacił swoje 12 czy 18 groszy rocznie z łanu, w większości wypadków osiadał na wsi o prawie niemieckim, od czasu do czasu na szarwark, gwałt, czy inną pieszą lub ciągnioną robotę był powoływany — poza tem jego spracowane ręce nie były jeszcze panu potrzebne.

Zmieniać się poczęły te stosunki mniej więcej od czasu pruskiej wojny, od pokoju toruńskiego, od niesławskich wreszcie przywilejów, gdy wyłącznie dotychczas stan rycerski — zaczął się stopniowo zamieniać w ziemiański. Gospodarka rolna, praca w polu, uprawa zbóż na coraz bardziej się wzmagający eksport do Gdańska, coraz bardziej wznoszący się poziom życia codziennego w związku z prądami renesansu wśród szlachty — ziemian końca XV i pierwszej połowy XVI wieku — wszystko to ra-

zem stwarza potrzebę, głód roboczych rąk.

Do pracy na pańskiej roli coraz częściej powoływano poddanych, nie wystarczają już czynsze i daniny, nie wystarcza dorywcza pomoc chłopskich rąk. W zagospodarowanych folwarkach potrzebna jest stała praca, przeto ograniczono najpierw swobodę ruchu włościan. W konstytucjach od r. 1496 po przez 1503, 1510, 1511 ograniczono tę swobodę, przywiązano chłopca do wsi. Zniesiono później rękojemstwo kmieci, usunięto od nich sądy wiejskie i grodzkie, oddając kmieci pod patrymonjalne sądownictwo panów, skupiono niezależne sołectwa — uregulowano wreszcie prawnie robociznę. Nie była ona jeszcze dla włościan dotkliwą, bowiem konstytucją toruńską z 1520 roku określono jako ogólną normę, iż kmieć ma dawać jeden dzień w tygodniu robocizny z łanu, o ile już nie dawał większej. Z tem wszystkim nie było jeszcze położenie kmiecia polskiego złe. Był on jeszcze gospodarzem, mógł wyżyć wcale dobrze na swych łanowych i półłanowych gospodarstwach — ponosi tylko pewne ciężary.

Następny dopiero okres od połowy XVI wieku aż do czasów, w których widzimy księżną Annę Jabłonowską, starającą się ulżyć wieśniaczej doli, długie lata, w których kmieć, chłop polski odraabia „pańszczyznę w całem tego słowa znaczeniu, w których z samodzielnego, samoistnego gospodarza przemienia się w przynależność pańskiego folwarku, stanowi jego żywy inwentarz.

Rozwój tych pańszczyźnianych stosunków od połowy XVI wieku szedł coraz szybszym krokiem, w artykułach henrycjańskich szlachta stwierdza swą pełną władzę panów nad ludnością kmiecia, która się wyrażała nie tylko w sądownictwie patrymonjalnem, w ostatecznej i jedynej woli pana, nie tylko w rugach z łanków i półłanków, nie tylko w przymusie zakupywania u pana piwa czy wódki — ale przede wszystkim w dowolnie oznaczanych ciężarach, dowolnie nakładanych na wieśniaka.

Rąk roboczych potrzeba było coraz więcej. Rozwój rolnictwa, eksport zboża na Gdańsk rósł z każdym rokiem. Za Zygmunta III

i Władysława IV dosięga ogromnej cyfry 100.000 rantów, co świadczy o poważnym rozwoju folwarków szlacheckich. Potem praca włościan coraz bardziej była potrzebna. Nie ustala się już ich normy w konstytucjach Sejmowych, lecz w drodze praktyki, w drodze dowolnego oznaczenia przez pana, wzrastają robocizny, stanowiące główny ciężar, przygniatający chłopca. W XIX wieku jako przeciętną stanowiła robocizna ciągła dwa dni tygodniowo z ćwierci łanu, a więc z łanu pełnego 8 dni, choć zdarzały się wypadki, że dochodziła ona nawet do czterech dni z ćwierci łanka, a więc 16 dni z łanu. Były to już ciężary dotkliwe, uciążliwe, w których chłop zamieniał się w robotnika rolnego, zmuszony dostarczyć ponadto na folwark rolnych „bez dni“, podwód, drobnych świadczeń w zbożu, przędzy, kurach, jajach etc.

Jeszcze te stosunki nie były tak uciążliwe, póki istniała możliwość ucieczki, możliwość zbiegostwa. Ilekroć przeciwko tym ucieczkom chłopów występował starosta w szeregu konstytucyj sejmowych, skracając proces o drobne poddane, podnosząc taksy odszkodowań za przyjęcie zbiegłych kmieci — to jednak nie ustawała ona, jak długo istniała możliwość ucieczki do Kozaków, nad Dniepr, w dzikie pola. Tam chronili się wszyscy ci, którym za ciężka była pańszczyzna dola, tam na wielkich stepach ukraińskich szukali swobody.

Zwiększyła się ta możliwość ucieczki od drugiej połowy XVII wieku, a ostatecznie od roku 1699 od pokoju Kozienickiego, powodującego zwinięcie rotty kozaków, od tej chwili, a więc w czasach saskich, przez pierwszą połowę wieku XVII, kiedy Rzeczpospolita, oprócz wewnętrznych zatargów zbrojnych, nie prowadzi żadnych wojen, kiedy dąwny rycerz ostatecznie jął się tylko uprawy roli, a w chełmach kokosze wysiadywały jaja — od tej chwili stanowisko chłopca jest ciężkie, złe, w całej pełni podległe jedynie woli pana.

Nie było ono jeszcze tak złe, jak gdzieindziej. Jeżeli chłopci polscy uciekali z folwarków, to uciekali na wschód, do kozaczyzny, a później w wieku XIX, gdy możliwość ucieczki się przerywa, uciekają do

Polski chłop z Niemiec i Rosji, gdzie położenie ich było jeszcze cięższe. Cięższe było w Niemczech, gdzie panowała sroga, bezlitosna pańszczyzna, wyciągająca z chłopca wszystko, co można było zeń wyciągnąć, gorsza w Rosji, gdzie w pełni jeszcze aż po pierwsze ćwierćwiecze XIX stulecia panuje na wsi „ius primae noctis” — prawo pierwszej nocy, i gdzie poddani byli taką czy inną cyfrą „dusz.”

Niemniej, choć już i u nas w tym czasie lepiej nie było, sytuacja wieśniaka, kmiecia polskiego była ciężka, zła, sromotna. Prąd reformatorski, idący coraz wolniej przez

społeczeństwo, stosunków tych dotknąć nie mógł ani w pierwszych latach połowy XVIII wieku, ani nawet pod jego koniec, w których nietylko szlachta odrzuca z obu-



rzeniem kodeks Zamojskiego, właśnie przez wzgląd na artykuł o chłopach, ani nawet jeszcze w konstytucji 3 go maja, w projekcie nieśmiało zaledwie zaznaczona, iż kmiecia „bierze się pod opiekę prawa”.

Konserwatyzm, zacofanie, egoizm materialistyczny, zbyt był jeszcze lichym, by mocen był śmiało tę kwestię poruszyć. Poruszają ją światlejsze umysły, to tu, to owdzie, panowie, magnaci starają się ulżyć w ich doli na własnych choćby dobrach, a przeprowadza to przedewszystkiem księżna Anna Jabłowska. (c. d. n.)

KAROLINA BIELAŃSKA

Z CYKLU: PROFILE ROMANTYCZNE

PIĘKNA PAMELA

(LADY FITZGERALD)

1773 — 1831

2

II.

MADemoiselle EGALITÉ

Na rubieży dwóch epok upływała młodość dziewczyny, dorastającej w tak niezwykłych warunkach. Nie przeczuwając jeszcze wszystkich okropności, huraganu rewolucji, ludzie wygrzewali się z rozkoszą w słońcu, topiąc „przesądów lody”. Sam strój kobiet był symbolem. Młode ciało wyzawało się radośnie z więzów sznurówki i bawetu, jasna twarz „dziecka natury” błyskała świeżym rumieńcem, wolna od szminki i pudru. Warto porównać takie portreciki, jak wizerunek Pulcherji, najstarszej córki pani de Genlis, później hrabiny de Valence, o osiej talji, ściśniętej w staniku, jak w pancerzu, o małej główce, dźwigającej z trudem piętrową, białą perukę, a kilka lat później malowane podobizny Pameli i jej koleżanek, swobodne pod lekkimi, greckimi draperjami, aby pojąć, że i psychika kobiet musiała się zmienić stosownie do przewrotu w ich zewnętrznym wyglądzie.

W każdym razie życie sióstr młodszych było radośniejsze, Pamela rozkwitała w szczęśliwej bez trosce, pieszczona i kochana. O przyszłość jej troskała się opiekunka i nie zaniedbywała niczego, by los dziewczki ustalić, a przytem posunąć naprzód własne, ambitne plany.

Pani de Genlis powitała radość nie wydarzenia roku 1789. Zaprowadziła uczniów swoich na gruzi zburzonej Bastylji. „Nosi na szyi medaljon z kamienia wypolerowanego, szcztaka „fortecy tyraństwa”. W środku tego medaljonu błyszczą z brylancików złożone słowo Wolność, nad niem, również z brylantów, słońce, które świeciło owego pamiętnego 14-go lipca, poniżej księżyc w takiej kwadrze, jaką miał dnia owego. Wokoło, ze szmaragdów utworzona, girlanda laurowa, związana kokardą również z drogich kamieni, o barwach narodowych.”

Podróżna Angielka, opisująca tak szczegółowo osobliwy klejnot, zdobiący szyję guwernantki dzieci książęcych, daje również uroczy portret młodej Pameli, „ślicznej, miłej, entuzjastycznej się wszystkim, co angielskie.” Oficjalnie była to przecież „angielska sierotka.” Ale na dworze w Palais Royal kwitła wogóle anglomanja, zaś dla polityków ideałem był jeszcze konstytucjonalizm angielski. Na czele zmodernizowanej monarchji któż inny mógłby stanąć, jak nie Książę Orleański, obecnie obywatel Egalité!

I oto marzenie „Egerji” wydaje się bliskiem sprawdzenia. Gdybyż tylko mogła wlać w żyły księ-

cia nieco ze swojej żądzy władzy zasuggestjonować mu nieco więcej stanowczości!

Zgromadzenie Narodowe uchwa- la prawo o rozwodach, ustawę o adoptacji. Ambitnej kobiecie wydaje się, że fala rewolucji rozpęta- ła się jedynie po to, aby obracać młynek jej zuchwałych projektów. Hrabina Brûlart de Genlis, od niedawna markiza de Sillery*), mianuje się tout court panią Sillery lub nawet obywatelką Brûlart. Kokietuje wielkich trybunów ludowych, na jej to prośbę, z myślą o Pameli, płomienny mówca, Kamil Desmoulins lansuje projekt ustawy o adoptacji. Na razie zapobiegliwa opiekunka wyrobi dla młodej dziewczyny zapis renty sześciu tysięcy franków od księcia, na akcie tym podpisze się, jako świadek, Barrère, co zyska słynnemu rewolucjonście przydomek „opiekuna Pameli”. Przyjme go chętnie, gdyż, zdaniem jego, jest to młoda osoba najmilsza i najlepiej wychowana, jaką znał kiedykolwiek. Desmoulins zazdrości mu tego zaszczytu.

Na wieczorkach tańczących u eksmarkizy muzyka gra: „Ça ira” a gospodyni ukazuje się w sukni trójbarwnej i — o zgrozo — bez pudru na włosach.

Towarzystwo wierne królewskiemu dworowi patrzy na nią, jak na potwora: Quel monstre!

*) Mąż jej odziedziczył tytuł markiza de Sillery po stryju.

Za to urzędowy jej mąż zbliżył się do niej na gruncie polityki. Małżeństwo zawarło przymierze i idzie sobie na rękę. Stary idealista, żarliwy przyjaciel Żyrondystów, jest dobrym opiekunem wychowanek swej żony.

W dniu 3 marca 1791 r. państwo Sillery wydają obiad, na który zapraszają Kamila Desmoulins z żoną Lucylą, Petiona i Robespierre'a.

(Oprócz pani domu i dwóch panienek, wszyscy uczestnicy tego przyjęcia położą, jedni po drugich, głowy pod nóż gilotyny).

Po obiedzie gospodyni śpiewa przy harfie pieśni patriotyczne, a Pamela i siostrzenica pani de Genlis, Henrjetta Sarcey wykonywają taniec rosyjski: „tak powabny i zmysłowy—notuje Desmoulins—że nieinaczej musiała tańczyć Herodjada, gdy chciała zawrócić głowę Herodowi.“

Kamilowi, choć nie był Herodem, ale ubogim adwokatem i po mieszczańsku kochającym mężem ślicznej Lucyli, zawróciło się również nieco w głowie.

„Wy, którzy sądzicie, że tak łatwo jest zachować cnoty obywatelskie, czy wiecie, co to jest pokusa? Avez vous été exposé a Pamela?“

Panienka nie domyśla się nawet zakulisowych intryg swej opiekunki. Taniec rosyjski wykonywa, bo jest modny, bo tak ją nauczono i tak nakazano. Na polityce nie zna się. Gra w sztuce, ironizującej obyczaje dworu i godzącej ostrzem swem w królowę, a później zapłaczem szczerze nad jej nieszczęściem. Jej wrażliwe, młode serce widzi i słyszy tylko to, co jest pięknego i porywającego w atmosferze Wielkiej Rewolucji: entuzjazm, zapal, pieśń jak płomień.

Gdy wkoło niej toczą się rozmowy statystów, gdy Mirabeau przed opiekunką jej roztacza przepych swej płomiennej wymowy, Pamela siedzi z głową pochyloną i haftuje, (jest to jej pasja) haftuje niewinne bukietki niezapominając na bladoróżowym atłasie.

Będzie to śliczny portfel, w którym pani de Genlis wpisze swoje sentymentalne maksymy, a na różku okładki zanotuje: „Haftowała Pamela w roku 1791“.

W roku 1792 pani de Genlis wyjeżdża do Anglii, prawdopodobnie w tajnej misji politycznej. Maskuje ją celem pedagogicznym. Cóż może być korzystniejszego dla młodych panienek, kończących edukację, jak pobyt w Anglii? Bierze ze sobą Mademoiselle, księżniczkę Adelaide, siostrzenicę swoją Henrjetę, maleńką pięcioletnią wnuczkę, i rzecz prosta, Pamelę. Marzy o tem, aby ją dobrze wydać za mąż w Anglii, rzekomej ojczyźnie „sierotki.“ Troskliwa wychowawczyni wywiązuje się z zadania wzorowo. Dziewczynki oglądają wszystko, co godne widzenia, poznają najznakomitszych ludzi.

Ci devant markiza nie otrzyma wstępu do salonów konserwatywnej arystokracji, w której samo nazwisko księcia Orleańskiego, obecnie pana Egalité, najżywszy wstręt budzi. Przyjmują ją gościnnie w kołach liberalnych.

Ale i tam zawdzięcza powodzenie raczej powabowi swych pupilek, niż własnej sławie. Znajdują ją trochę nudną i obawiają się jej intrygantwa politycznego.

„Najlepszymi utworami pani de Genlis—powiadają Anglicy—są jej piękne córki.“

Uroda Pameli budzi zachwyt ogólny. Mistrz portretu, Romney, maluje ją dwa razy, uwieczniając jej duże, sarnie oczy i urok polnego kwiatu. Gaśnie przy niej subtelny, łagodny wdzięk skromnej księżniczki i świeża krasa hożej, lecz niezgrabnej Henrjetty... Dziw, że powodzenie nie psuje łagodnej i szczerzej natury „anielskiego“ dziewczątka.

Tymczasem Rewolucja we Francji postępuje szybko i nieubłagannie swoim torem:

Uwięzienie króla, rzezie sierpniowe, proklamacja Rzeczypospolitej.

„Sen o koronie“ rozwiewa się w nicość. W sercu „Egerji“ zbiera się niezmierna gorycz, gniew poprostu na człowieka, który przez niezdolność lub tchórzostwo, nie potrafił korzystać z chwili. Nie chce wracać do Paryża. Po co sprowadzać młode istoty do straszliwego „miasta rzezi i krwi“?

Zachodzi jednak komplikacja zgola nieprzewidziana. Konwent, rządzący obecnie Francją, położył rękę na dobrach książęcych.

Podrózne nie otrzymują pieniędzy i zostają w obcym kraju prawie bez środków do życia.

Pierwszy to raz młode stworzenia stają twarzą w twarz z twardą rzeczywistością. Nie tracą wesołości. Nie napróżno wychowywano je w prawidłach Rousseau'a. Ubóstwo ma dla nich wdzięk. Najmują skromny domek na prowincji, panienki zajmują się gospodarstwem i wesoło spożywają spartański posiłek.

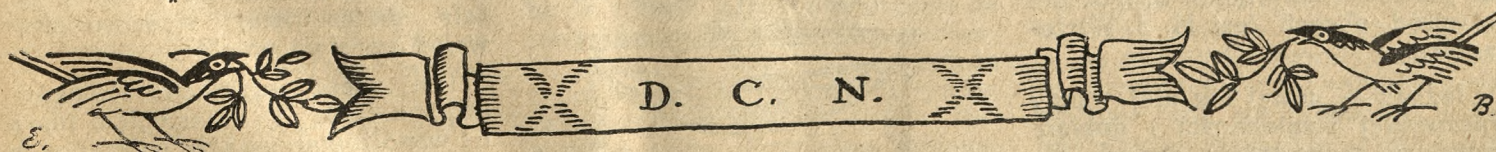
Pamela utrzymuje, że nic w życiu nie smakowało jej tak, jak chłopska zupa z jarzyn, wyhodowanych we własnym ogrodzie, do której kruszy suchy chleb i czystą wodą popija.

Gdy zima nadchodzi, okazuje się, że mają tylko jedną ciepłą kołdrę. Pani de Genlis daje ją Pamelę, bo jest najdelikatniejsza, księżniczka marznie, ale nie śmie protestować, zresztą kochają się między sobą i to osładza życie.

Konserwatywni sąsiedzi angielscy, z coraz większą grozą słuchając o wydarzeniach z tamtej strony kanału, patrzą na „francuską furję“ coraz niechętniej. Za to Sheridan, genialny Irlandczyk, orator, satyryk, komedjopisarz, bierze w opiekę biedne cudzoziemki z tem większym zapałem, że piękność Pameli wywarła na nim silne wrażenie, spotęgowane dziwną okolicznością: młoda dziewczyna jest ogromnie podobna do jego żony. Piękna niegdyś i ubóstwiana Elżbieta Linley: „The Maid of Bath“, śpiewaczka o słowicznym głosie, dziś gasnąca na suchoty, od dwóch lat, nie opuszczająca swego szeszlona.

Pewnego wieczora, wróciwszy z przyjęcia, które wydał słynny demokratą Stone dla pań francuskich, Sheridan zaczął opowiadać o tem nadzwyczajnem podobieństwie żonie i przyjacielowi. Był to lord Edward Fitzgerald, młody, świetny oficer armji angielskiej, a gorący patriota irlandzki, którego głębokie, choć niewyznane uczucie wiązało do ślicznej, słodkiej, na śmierć skazanej kobiety.

Mistress Elizabeth zwróciła się doń z łagodnym uśmiechem: Cieszyłabym się, gdybyś ty się ożenił z tą młodą dziewczyną, gdy mnie już nie stanie.



Z CYKLU SYLWETEK

KAROLINA BIELAŃSKA



Autorka, której nazwisko od niedawna dopiero pojawia się w literaturze naszej, stworzyła sobie odrębny rodzaj pisania. Studja jej historyczne są jak powieści. Ze starych, albo mało znanych pamiętników, z pozólkłych kartek archiwalnych wyczytuje sprawy, z których suchy szperacz stworzyłby książki cenne w historycznym znaczeniu, ale—za nudne dla ogółu. Przeciętny czytelnik musi czegoś oczekiwać od każdej kartki następnej i podlegać wstrząsom wrażliwości, potrzebnym w życiu intelektualnym niemniej, jak w życiu zmysłowym i uczuciowym.

Bieleńska w swoich szkicach, monografiach umie zatargać wszystkimi nerwami. Zahacza zawsze o t. zw. pointę, której czepia się myśl, aby w jej rytm, nurtem jej łożyska płynąć od źródeł poczęcia aż ku ujściu samemu. Bez chwili wytchnienia, bo—rozogniona tematem—nie zna fermał odpoczynku. Pędzi z lawiną faktów, a za nią—gorączkowe pytania czytelnika: „co będzie?...“

Bieleńska mogłaby być pur sang powieściopisarką. Tak. Niejedna autorka na jej miejscu pokusiłaby się o to, bo wszak—czyż trzeba tu—dla pisarza—feljetonisty—mrówczych badań i mozolnej szperaniny?

Są autorzy, wkładający w powieści swoje nowele, poematy syzyfową pracę. Teofil Gautier, G. Flaubert, An. France—wszyscy parnasiści, prerafaelici, wielu romantyków wszystkich krajów i wszystkich narodów, wielu pisarzy współczesnych i przedwspółczesnych—z naszych Prus w Faraonie, Sienkiewicz w Quo Vadis, Krzyżakach, Trylogii, Żeromski w Popiołach, Sułkowskim, Wietrze od morza, Reymont w 1791 r., Berent w Żywych kamieniach i t. d. i t. d.—przeprowadzają głębokie studia przed napisaniem książek swoich. Z kobiet najwybitniejszą szperaczką beletrystką—nie powiem, sądzę za dużo—nie tylko u nas, ale i wśród obcych jest M. J. Wielopolska.

Jednak—nawet i u niej—przy niezwyklej sumienności i dokładności w gromadzeniu danych dla

podmalowania tła—gra dużą rolę wyobraźnia. Epoka, w której rozgrywa się akcja, jest wierna historycznie, ale bohaterów tworzy autorka sama, dostrajając ich do chwili dziejowej i ubierając we wszystkie, związane z nią akcesoria zewnętrzne.

Bieleńska inaczej. Wzywa się w wybranych swoich, jak aktor w role ukochane.

A umiowała przedewszystkiem tych, którzy walczą o wolność i giną dla niej, za nią. Umiowała pełne bezgranicznej ofiarności, a mądre i twarde wolą kobiety—towarzyszki pracy bohaterów i apostołki prawd ich.

Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri—znane Czytelniczkom „Bluszczu”—wrosły w jej duszę, stały się nią samą, gdy pisała o nich. Dostojni garibaldzcy—Nullo, Caroli, Marchetti, Andreoli—przepojeni są w książce*) jej krwią żywą.

Wybiera typy niepokalane w swej czystości duchowej, w swoich prawdach moralnych w swoim niezachwianym pędzie wyzwolenzym.

Czy dekabryści—tacy niezłomni wbrew nihilizmowi duszy rosyj-

*) „Nullo i jego towarzysze” z przedmową Stefana Żeromskiego. Wydawnictwo Księgarni Robotniczej Wspólna 17.

skiej—czy karbonarzy, czy garybaldyści—wszyscy niosą sztandary swe po nad głowami tłumu.

Takich szuka pióro Bieleńskiej.

Spotka się zarzut—czemu pisze przeważnie o obcych?

Autorom trudno dawać aptekarskie recepty, gdzie mają szukać tematów i jak je preparować?

Zapewne—byłoby wielce pożądane, żeby subtelnym swoim skalpelem dotknęła historii życia i pracy Anny z Sapiechów ks. Jabłonowskiej, wielkiej działaczki 18 w. lub Barbary z Zawiszów Radziwiłłowej, Marji Kossowej, Anny Młodziejewskiej, o których mamy tylko suche notatki kronikarskie,—ale to nie są typy w jej stylu—energiczne, mądre, zabiegliwe społecznie, niepospolicie praktyczne umysły, twórczynie ustaw, kierowniczk zakładow przemysłowych, administratorki dóbr olbrzymich. Raczej—Klaudja Potocka, o której wie się tak mało, raczej uczestniczki trzech powstań, raczej bohaterki ostatecznych walk wyzwolenych w Polsce—legion dzielnych, tęgich ofiarnic, a prawie wcale—nawet z nazwisk—nieznanych.

W szkicach i studjach o obcych nie zapomina jednak. Bieleńska o swoich. Monografia „Nullo i jego towarzysze”, to przecież polsko-włoska epopea rycerzy wolności.

Zostawmy jej swobodny wybór pracy i studjów. Cokolwiek da nam, będzie zawsze podniosłe i dostojne, dźwignie myśl w kraj ideału.

Ma Bieleńska ważną misję do spełnienia. W rękach jej wielka pamiątka styczniowego powstania—dziennik Emila Andreoli’ego, Francuza pół krwi korsykańskiej, który poszedł bić się za Polskę, a przebył mękę więzień, etapów, katorgi sybirskiej i każdą godzinę dnia zapisywał w konspiracyjnym notatniku i przejrzał nawskroś nikczemną duszę satrapów rosyjskich—od rang najniższych do najwyższych—sokolim wzrokiem dostrzegł przyszły bolszewizm, wyprorokował wolne państwo polskie.

Ten wielki przyjaciel Polaków, który z czcią i uniesieniem pisze o współtowarzyszach wygnańcach z kraju niewoli.



Niechby tę jedną rzecz, moźolnie — przez lupe — z poźółkłych kartek dziesięciu kajetów spisana i przetłomaczoną, zostawiła nam Bielańska — już byłby to spadek dla Polski królewski.

* * *

Urodziła się w Czortkowie 1872 r., wykołysała ją malowniczy krajobraz Czerwonej Rusi — jary i „ścianki” lesiste, kamieniste zbocza, szumiące wody Seretu, stare drewniane cerkiewki z bizantyjskimi Madonnami w ołtarzach, prymitywne świątki na cmentarzu, bujna zieloność i złote kukurydzo-we łany żyznego czarnoziem.

Pejzaż z okolic Czortkowa ma w sobie coś z krajobrazów Lombardji, więc od dzieciństwa dwa ukochania — Polska i Włochy. — Snuje się to już przez całe życie.

Z rodu ziemiańskiego po matce i z rodu czynnych działaczy w czasie powstania, wychowywała się Bielańska w atmosferze zarówno ukochania wsi polskiej, swobody, szerokich przestrzeni, jak i gorącego patriotyzmu.

Brat jej babki, Wincenty Mazurkiewicz, oficer z 1831 r., członek T-wa Demokratycznego, szwagier Mierosławskiego, mniej głośny od niego, ale wyższy moralnie, — życie całe poświęcił dla ojczyzny. Emigrant, niezmordowanie propagował polskość, zagranicą wywierając prze-możny, nawet zdaleka duży wpływ na kraj i całą rodzinę. Ojciec autorki, dr. Karol Wągrowski, bierze udział jako młody medyk w powstaniu 1863 roku i ma nominację Rządu Narodowego. Z bogatej biblioteki domowej czerpie przyszła pisarka wiedzę i zamiłowanie do książek. Kulturę artystyczną dziedziczy po prababce, Annie Zawadzkiej, uczenicy Bacellego, wysoce utalentowanej minjaturzystce.

Od lat dziewczęcych umysłowością jej kierował Kornel Ujejski, przyjaciel domu. Za jego namową zaczęła trochę pisać, przetłomaczyła Ernani’ego i inne rzeczy. Bardziej jednak pociągało ją wtedy malarstwo.

Przerwało się to wraz z zamążpójściem w 1895 r.

Inż. Jan Bielański wnosi z sobą również wspomnienia powstańcze, matka jego bowiem — Romanowska z domu — była stryjecną siostrą poety.

Tak więc oplatały młody umysł ustawiczne obrazy naszych walk wyzwoleńczych i bohaterskiej śmierci za ojczyznę. Był to posiew, który w znacznie późniejszym okresie życia dopiero miał wzejść bujnem ziarnem.

Ostatnie dziesięciolecie 19 w. były okresem twardej pracy organicznej. Dźwignąc kraj z nędzy popowstańczej, wzmocnić go materialnie, żeby mógł zdobyć środki do dalszej walki wyzwolenczej, dać mu kręgosłup moralny, toczyć z rządami zaborczemi głuchy bój podziemny o naukę polską, dać chłopu i dziecku proletariackiemu polski elementarz w rękę i mówić mu, że musi rzucić z siebie obcą przemoc, — to były hasła epoki. Austria, gdzie panowała swoboda nauki w ojczystym języku, miała być rozsądnikiem polskości na dwie pozostałe dzielnice. Tam też rozwinęła się w całej pełni jawna działalność oświatowa, skupiona w Tow. Szkoły Ludowej.

Podjęła ją K. Bielańska wraz z mężem, architektem i inżynierem, właścicielem cegielni i kaflarni, oddała się pracy tej oraz wychowywaniu dwóch synów bezpodzielnie.

W 1905 r. umiera Inż. J. Bielański. Młoda wdowa sama z niezwykłą energją prowadzi jego przedsiębiorstwa. Dostaje nawet medal na wystawie buczackiej za wyroby swoich fabryk. Mimo tej pracy, nie przerywa jednak zajęć swoich oświatowych. Wraca nawet po trosze do literatury. Tłumaczy, pisze feljetony do Słowa Polskiego, nawiązuje stosunki z Włochami, zwłaszcza bergameńczykami, zdobywa rękopis Andreolego.

Ale nadchodzi wojna. Syn szesnastoletni idzie do Legionów, służy w I pułku ułanów Beliny, odcięta od świata, w swoim miasteczku kresowem przebywa burzę wojenną, która w ruinę obraca jej rodzinne gniazdo. W czasie rządów ukraińskich przechodzi godziny wielkiego niebezpieczeństwa. Za działalność swoją patriotyczną otrzymuje Krzyż walecznych.

Po chwilowym wkroczeniu wojsk polskich do Czortkowa następuje w sam dzień Zielonych Świątek 1919 r. nagłe cofanie się i ucieczka. K. Bielańska prawie tak, jak stała, przybywa do Warszawy z synem młodszym, który również zaciąga się do wojska Polskiego. Otrzymuje wkrótce posadę w Biurze Prasowym Kancelarii Cywilnej Naczelnika Państwa, a następnie Prezydenta Rzeczpl. Polskiej.

Po wojnie talent jej rozwija się w całej pełni, wydaje książkę o Nulu. W 1923 r. jedzie do Bergamo na obchód 60 l. rocznicy jego śmierci, prowadzi samorządną polską propagandę z całym porywem entuzjastycznej swej duszy. Nawiązuje coraz liczniejsze stosun-

ki. Znajduje w Medjolanie i w Rzymie przyjaciół, którzy ułatwiają jej wstęp do bibliotek i archiwów. Z każdej podróży przywozi cenne dokumenty, których pełną skrzynię ma u siebie. Píše po włosku studjum o Carolim po polsku: monografię poezji Risorgimentu. Pracuje dla Polski we Włoszech, a dla Włoch w Polsce. Zająta w dzień pracą zarobkową, pisze nocami. Podziwiać należy tę wielką żywotność sił i napięcie umysłu, które ją utrzymują w ciągłym pogotowiu roboczym.

Powie ktoś — „szkoda, że tak późno...”

Ale czy życie ludzkie nie idzie po ustalonych z góry orbitach, które doprowadzają tam zawsze, dokąd pójść trzeba?...

W duszę Bielańskiej zapadały powoli, ale głęboko ziarna twórczych umiłowañ i pomyśleń. Wybijały przedwcześnie — byłyby dały może owoc drobny, nikły, mało ważki. Dojrzawszy, są jak soczysty granat lub ciemnofioletowa śliwa — pełne zwartej treści same w sobie.

C. Walewsko

ŚWIAT ZWIERZĘCY A CZŁOWIEK

Jest pewna dziedzina naszego życia gromadnego, dziedzina ogromnie ważna i bliska, a ogółowi ludzkiemu dziwnie, zupełnie obojętna, można powiedzieć — nieznaną. To stosunek nasz, ludzki, do otaczającego nas współżyjącego z nami, a często współpracującego świata zwierzęcego.

Zaiste, dziwną jest ta obojętność myśli i serc ludzkich do otaczających nas tak gromadnie, tętniących życiem, myślą i uczuciem — istot, z którymi od kolebki świata aż do jego końca żyliśmy i żyć będziemy — musimy.

Wśród ogromnych zagadnień bytu ludzkości, w zawrotnym tempie życia narodów, zmagania się ich ze sobą w wiecznej walce o byt i przewagę — świat zwierzęcy, jako „świat”, przestał istnieć dla ludzi. Łączniki, które w kolebce ludzkości były tak silne, pękły — zostały tylko w świadomości naszej poszczególne, znane nam bliżej lub dalej gatunki tych istot i świadomość, do czego i jak wyzyskacby je można.

W nieuniknionej, mocnej, jak siła życia, walce o byt wymordowują się wzajemnie narody, aby zyskać pierwszeństwo — i wymordowuje się zwierzęta, aby nimi żyć. Taka jest nieubłagana siła życia. Ale

czemu te z nich, które nam do podtrzymania tejże siły życia nie są potrzebne, te które nam nie są pokarmem, a naodwrot, albo piękną ozdobą świata, lub wiernym, oddanym towarzyszem życia i współpracownikiem, czemu te zwierzęta są nam tak dziwnie dalekie, obce, obojętne? Czemu tak często z bezmyślnem okrucieństwem ogół ludzi do nich się odnosi?

Zdarzają się wprawdzie wśród nas dość często tacy, którzy „lubią zwierzęta”. Mają wtedy jakiegoś wybrańca, jakiegoś „faworyta” — psa, lub kota, któremu stwarzają możliwie dobre warunki egzystencji, za co są narażani na ironiczne uśmiechy i sarkastyczne uwagi otoczenia.

To, że zwierzę — to cały świat uczuć, myśli i pragnień, cały przebogaty świat — świat uczuć często tak głębokich i wiernych, jak na to rzadko kiedy stać jest człowieka — to nam na ogół na myśl nie przychodzi, to lekceważąc od siebie odpychamy.

A jednak, gdybyśmy sobie raz ogólnie ustalili, że zwierzęta czują, myślą i cierpią, że mają cały świat pragnień i radości, smutków i tęsknot — zwłaszcza czworonogi, może stosunek nasz do nich stałby się głębszy i lepszy i nędza i krzywda, zwłaszcza zwierząt domowych, zmniejszyłaby się znacznie.

Wrażliwość zwierząt na łagodne obchodzenie się z nimi, na pieśczętę zwłaszcza, jest ogromna i tym, których świat zwierzęcy bliżej interesuje — znana. Jak ładnie i łatwo możnaby to wyzyskać, gdyby umiejętnie stosować; do jak niesłychanie ciekawych i daleko idących rezultatów dojść byłoby można!

Ja, osobiście, młode psy uczyłam tak prostej rzeczy, jak posłuszeństwa, bez jednej kary cielesnej, prędko, podczas kiedy naogół bije się młode psiaki miesiącami nieraz, zanim, w swem zaleknieniu przed karą cielesną, zrozumieją w końcu, czego właściwie od nich się wymaga.

W łagodnem, pieśczętliwym, równem, zwłaszcza serdecznem obcowaniu ze zwierzętami, rozwija się szybko i pogłębia ich inteligencja i wprost namacalnie daje nieraz nadzwyczajne rezultaty. Psychika ich i nowe pędy uczuć rozkwitają wtedy, jak kwiaty w ciepłym słońcu... Igdybyp. pogromcy nieszczęśliwych lwów, zamiast strzelać im nad głowami i teroryzować żelaznymi kańczugami i biciem, stopniowo, łagodnością ich sobie zjednywali i do siebie przywiązywali — nie kończyliby tak tragicznie, jak to się zwykle dzieje, znienawidzeni przez swoje ofiary — w ich paszczkach.

Wuj mój, powstaniec 63 roku, miał konia wierzchowca, z którym wspólnie, że tak powiem, wzrósł na wsi ojcowskiej. Jako 14 letni wyrostek dostał żrebaka na własność. Pieścił go więc, dawał mu z ręki cukier i chleb, wszystkie wolne chwile na łące z nim spędzał. Żreback zaś, zdaleka już rżał miłośnie na głos swego pana.

W powstanie poszli razem. A gdy młodego bohatera, okrytego ranami, chłopci z pola bitwy zabrali wieczorem i zamknęli związanego w stajence, aby go rano odstawić do powiatu carskim siepaczom do rąk, za talary płatne za żywą głowę „buntowszczyka” — nocą, wierny „Sokół” towarzysz, zamknięty w przegrodzie obok, czując swego pana, wygrzebał przednimi nogami dół głęboki, przesunął łeb, rozgryzł powrósł, którym spętano powstańca i uwolnił mu ręce i nogi... Młody więzień szybko i cicho otworzył drzwi swego chwilowego więzienia i uciekli obaj. Byłam małą dziewczynką, gdy siwowłasy wuj nasz, ze łzami w oczach i wdzięczną dla swego Sokoła pamięcią — opowiedział nam swą wielokrotnie powtarzałą...

W moje serce dziecięce, zaryła się głęboko bolesna świadomość, że oto polski chłop, polskiego powstańca za judaszowe srebrniki ruskim siepaczom na śmierć wydawał. I wydałby niechybnie i mego wuja, gdyby nie koń — towarzysz, koń — przyjaciel!

O psach wiernych, co na mogiłach swych panów kończyły — słyszy się często. Ostatniego lata, w pewnej miejscowości otrula się z miłości chłopska dziewczyna. Kochanek, bogaty młynarczyk, nawet na pogrzeb jej nie poszedł; za to pies „Bukiet” od samotnej, opuszczonej mogiłki swej pani oderwać się nie chciał, i znalazł go tam po tygodniu, martwego.

Na wsi, w pewnym dworze, ulubienicą była biała, wypieszczona kotka „Mimi”. Latem pani domu wyjechała do wód, a służba źle się obchodziła i zaniedbała faworytkę w okresie życia ciężkim dla niej — bo macierzyństwa. Czując, że sama źle karmiona i bita nie odchowuje dobrze swych kociąt, przezorna

Mimi, po kolei, w pyszczku, małeńkie i ślepe jeszcze swe dzieci, po jednym, przeniosła do innej gospody: jedno ulokowała u ogrodnika, jedno u rzadcy — trzecie u kowala. I obiegała dzień cały swą trójkę, karmiąc swem mlekiem wytrwale. Cała wieś była faktem tym poruszona. Kotka Mimi stała się sławna w okolicy. Kociątku u kowala było źle. Małżeństwo się kłóciło, biło — o małeństwie zapomniano. Więc, jak tylko wróciła „pani” do dworu, tegoż dnia jeszcze kotka Mimi zabrała swoje dziecko od kowala. Spore, już odchowane, przyprowadziła je swojej pani do kolan, głośno miauczając i ocierając się, śnać o względy i łaskę dla niego prosząc. — Fakty tę mówią za siebie, a ogół ludzi nawet nie rozumie, do jakiego stopnia krzywdzi zwierzęta, źle obchodząc się z nimi.

Dobrze już, jeżeli dadzą im jeść do syta i pić. Inna jakaś, że tak powiem, duchowa strona potrzeb życia zwierzęcego, dla niej nie istnieje. Nie dopuszczają wprost możliwości jej istnienia do swojej świadomości — wyrzucają za nawias. A jednak, poszczególne, szersze umysły ludzkie różnych narodów i różnych epok zagadce życia wewnętrznego otaczających nas istot umysł swój i pracę poświęcały.

Nawet tak realistyczne umysły, jak nowoczesne niemieckie, zagadnieniu się temu oddają i mamy nader ciekawą pracę Büchnera: „Das Geistesleben der Tiere” w Berlinie wydana.

Jakże ładnie pisze [Edgar] Allan Poe w „Arabeskach” — nowelka „Czarny kot”.

— „Obcowanie ze zwierzętami stało się w wieku męskim głównym źródłem mych radości... W niesamolubnem i ofiarnem przywiązaniu zwierzęcia jest coś, co wnika wprost do serca, serca, co żyło i miało często sposobność doświadczyć, czym jest nędzna przyjaźń i nikała jak pajęczyna trwałość uczuć... tylko... ludzkich...”

A komuż z nas jest obca cudowna, promienna miłością wszechświata postać św. Franciszka z Asyżu? Tego potężnego umysłu reformatorskiego, co poprzedził Renaissance, co wiodł za sobą tłumy współwyznawców; którego zakon, oparty właściwie na pojęciu religijnem panteistycznym, został jednak w końcu uznany przez papieża i, z pewną modyfikacją, zatwierdzony.

Serce św. Franciszka z Asyżu obejmowało miłością świat cały — jak niczyje przed nim i niczyje po



nim. Ale umiłowanie to obejmowało świat cały i wszystko, co na nim żyje—nie tylko ludzkość.

U stóp św. Franciszka z Asyżu, jak korne dzieci, kładły się lwy i drapieżce, liżąc mu stopy święte i ręce. Kwiaty rozkwiwały pod tchnieniem jego ust, a ptaki spływały mu na ramiona — bo tak je kochał, tak mu były bliskie...

Bo tak je kochał! Tak bardzo kochał naturę, świat i wszystko, wszystko co na nim żyje, ten cudowny o przepięknym umyśle i wielkim sercu święty.

Uczmy się tej miłości od niego.

A poeta—myśliciel Rabindranath Tagore, mówi w „Gitanjali“:

— „Nieraz się dziwię, gdzie leżą ukryte granice, odróżniające człowieka od zwierzęcia, którego serce nie zna mówionego języka... Przez jakież to raj pierwotny prowadziła w daleki poranek stworzenia ta ścieżka prosta, na której się spotkały ich serca?

„Ślady wiernego dotrzymywania sobie kroku nie zatarły się dotąd, jakkolwiek dawno zapomniano o ich pokrewieństwie.

„Atoli nieraz, do taktu jakiejś muzyki bez słów, budzi się nagle zamierzchnie wspomnienie i zwierzę z czułą ufnością spogląda w oblicze człowieka, a człowiek z radością patrzy przejęciem w jego źrenice.

„Zdaje się, jak gdyby spotkało się dwóch zamaskowanych przyjaciół i zaledwie się poznają w przebraniu!

Oby się z czasem poznali!”

Janina Maszewska-Knappe.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU



NIEBEZPIECZEŃSTWO PISANIA NA MASZYNIE

Pomiędzy zajęciami, wpływającymi ujemnie na stan zdrowia pracownika, znalazło się także — jeśli wierzyć uczynom — i pisanie na maszynie. Wiedeński profesor i doktor medycyny H. Schrotter w świeżo wydanej książce wykazuje na podstawie przeprowadzonych przez siebie obserwacji szkodliwość wpływu, jaki wywiera pisanie na maszynie na osoby, oddające się temu zajęciu wyłącznie i przez zbyt długi przeciąg czasu.

Zdaniem prof. Schrottera, pisanie na maszynie należy do czynności bardzo wyczerpujących zarówno poa względem nerwowym, jak i fizycznym. Powodem tego jest: konieczności silnego napięcia uwagi, męczący ruch fizyczny (palców i rąk przy przesuwaniu wałka, etc.) nadewszystko zaś — stuk klawiszów, który działa w najwyższym stopniu denerwująco. U szybko piszących maszynistek daje się zaobserwować podczas pracy duże przyspieszenie tętna i oddechu, co oczywiście także pociąga za sobą wyczerpanie i zmęczenie.

Jako środek zaradczy przeciwko temu wyczerpaniu wysuwa Dr. Schrotter postulaty następujące: 1° należy unikać poświęcania się wyłącznie zajęciu maszynistki, i łączyć tę pracę z innymi czynnościami biurowymi; 2° zapobiegać przemęczeniu nerwów przez używanie maszyn systemów nowszych, piszących cicho, oraz przez staranie się o zachowanie ciszy i nie przeszkadzanie maszynistkom głośną rozmową, itd.; 3° dążyć do ulepszenia konstrukcji maszyn do pisania tak, aby ograniczyć o ile możności wysiłek fizyczny piszącej.

KTO MA RACJĘ?

W ostatnim numerze miesięcznika, wydawanego przez Amerykańskie Stowarzyszenie Lekarskie, znajdujemy dwa artykuły których autorowie wypowiadają w jednej i tej samej sprawie krańcowo sprzeczne poglądy. Chodzi mianowicie o degenerację fizyczną obecnego pokolenia kobiecego.

Dr. Arbuthnot Lane twierdzi, że wzmoczenie się choroby raka stoi w ścisłym związku z degeneracją fizyczną kobiet. „Nowoczesny typ kobiety” — mówi ten uczony — „odbił od normalnej, zdrowej, doskonale rozwiniętej pod względem fizycznym przedstawicielki rodzaju żeńskiego Homo Sapiens — kobiety pierwotnej, takiej, jaką ją widzimy jeszcze u plemion, stojących na najniższym poziomie kultury. Pod tym względem cywilizacja oddała kobiecie bardzo złe usługi”. Idąc po tej linii, rozwija on dalej swój pogląd, dowodząc, że kobieta dzisiejsza „utraciła w znacznym stopniu właściwości swojej płci, przystosowanie się do najważniejszego z jej zadań — macierzyństwa, staje się coraz to mniejsze”. Degeneracja jej fizyczna przejawia się nawet w stałym zmniejszaniu się wzrostu kobiecego.

Dr. Arbuthnot czyni kobietę nowoczesną odpowiedzialną za większość chorób trapiących ludzkość i za skąłowacenie fizyczne potom-

stwa. Przyczynę zła upatruje w... „przeciążaniu umysłu kobiecego niepotrzebnym balastem nauki”. Ten to „balast” działa denerwująco, odwraca uwagę kobiety od jej zadań właściwych do zagadnień, które zbyt wyczerpują jej siły. Niedostateczne lub wadliwe odżywianie, brak należytej kultury fizycznej, w szczególności zaś zatrutowanie się narkotykami — kofeiną, nikotyną i t. d. — wytwarza ów stan rozpaczliwy, który tak fatalnie odbija się na zdrowiu ostatnich pokoleń.

Zupełnie innego zdania jest Dr. Winifred Cullis, wybitna lekarka angielska, pierwsza kobieta która otrzymała w Londyńskiej Akademii Medycznej katedrę fizjologii. „Kobiety nasze idą wciąż w kierunku coraz doskonalszego i pełniejszego rozwoju swej kobiecości” pisze ona. W przeciągu mojej długiej pracy lekarskiej miałam do czynienia z ogromną ilością kobiet i młodych dziewcząt ze wszystkich bez wyjątku warstw społecznych. Stwierdzam z całą stanowczością, że zarzuty niektórych uczonych, jakoby kobieta współczesna była zdegenerowaną fizycznie, są absolutnie bezpodstawne. Przeciwnie, kobieta w r. 1925 stoi o wiele wyżej pod względem rozwoju fizycznego, niż to miało miejsce w końcu ubiegłego stulecia. Świadczy o tem np. fakt, że anemja wśród młodych dziewcząt, tak powszechna jeszcze przed dwudziestu laty, dziś jest zjawiskiem coraz rzadszym. Powodem tego jest zmiana, jaka zaszła w naszych poglądach i warunkach życia.

Kobiety nowoczesne nauczyły się wieść życie naturalne, swobodne i zdrowe, zarzuciły niehigieniczne, uciskające ciało gorsety, wzięły się z zapałem do sportów, przebywają dużo na świeżem powietrzu i t. d. I jeszcze inny powód bardzo ważny: nauczyły się jeść tyle, ile wymaga zdrowy organizm. Nasze babcie uważały za nieprzyzwoitość obfite jedzenie, dzisiejszym dziewczętom nikt już nie bierze za złe ich dobrych apetytów“.

Kto z tych dwojga uczonych ma rację?

MAŁŻEŃSTWO NA PRÓBĘ?

Do Izby Ustawodawczej stanu Delaware wniesiony został przez jednego z posłów amerykańskich, sen Ridgley'a, projekt ustawy o „małżeństwach próbnych”. Mają one być zawierane na przeciąg jednego roku, po upływie zaś tego czasu, o ile małżeństwo okaże się złe dobraniem, będą mogły być rozwiązywane przez uciekanie się do procesów rozwodowych. O ileby zaś,

po upływie roku, małżeństwo to się nie rozszło, ma ono nadal posiadać cechę trwałości i podlegać wszelkim prawom, obowiązującym małżeństwa zwykle, a co ważniejsza małżonkowie wychodzący zwyczajem z takiej „próby“, mają być na przyszłość pozbawieni prawa do rozwodu.

Oryginalny ten projekt ma oczywiście na celu zapobieżenie tak powszechnej w Ameryce klęsce rozwodów.

TRAGICZNE SKUTKI PLOTKARSTWA

Pisma wiedeńskie donoszą o tragicznym wypadku samobójstwa młodej, bo zaledwie dwudziesto kilkoletniej baronowej Seeman von Trenwart, żony bogatego przemysłowca austriackiego. Okoliczności tego samobójstwa były następujące:

Baronowa miała raz na zebraniu towarzyskiem opowiedzieć jakąś historyjkę, uwłaczającą opinii jednej z pośród swych znajomych pań. Ta ostatnia, dowiedziawszy się o tem, poskarżyła się mężowi, który w przystępie oburzenia napisał do baronowej list obelżywy, nazywając ją plotkarką, intrygantką itp. Baron v. Trenwart zareagował na obelgi, skierowane przeciw jego żonie, wyzywając owego pana na pojedynek.

Napróżno baronowa, kochająca szalenie swego męża, błagała go, aby zaniechał zamiaru pojedynku, obiecywała przeprosić obrażoną przez siebie panią, i t. d. Baron, udając się na miejsce spotkania z przeciwnikiem, powiedział jej: Czynię to, co mi nakazuje poczucie honoru, gdyż muszę wystąpić w obronie czci mojej żony. Jeśli jednak przeciwnik mój mnie zastrzeli do czego ma najzupełniejsze prawo, pamiętaj, że winę tego poniesiesz tylko ty sama i twój pociąg do plotkarstwa“.

Po wyjściu męża z domu baronowa nie czekając na wynik pojedynku, odebrała sobie życie wystrzałem w skroń z rewolweru.

Osierociła ona dwoje drobnych dzieci. Mąż, szczęśliwym zbiegiem okoliczności wyszedł z pojedynku cało.

OSOBLIWY POSAG

Hiszpańskie pismo „El Promotor“ podaje następującą anegdotkę, rękując za jej prawdziwość.

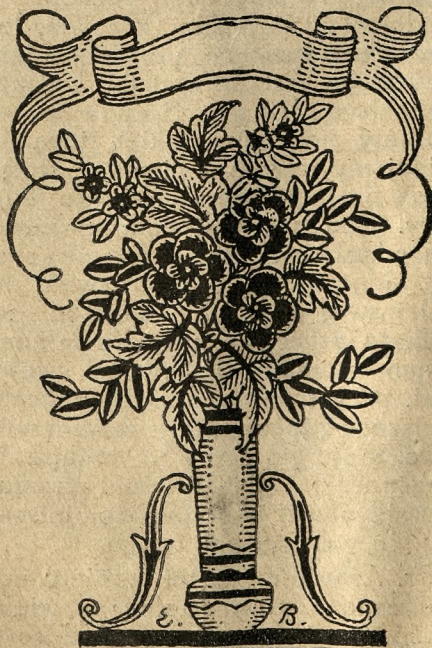
Pewien kupiec miał jedyną córkę, którą zamierzał wydać za mąż.

Ogłosił on wszystkim swoim znajomym, że daje jej posag wartości 50.000 piastrow, około 200 tysięcy złotych. Tak znaczna suma przyciągnęła oczywiście wielu amatorów, między którymi znalazł się jeden młodzieniec, który miał szczęście podobać się zarówno ojcu, jak córce. Odbyły się huczne zaręczyny, a wkrótce miał nastąpić ślub. W wigilję jednak owego dnia młody człowiek otrzymał list od przysłego teścia treści następującej:

„Obiecałem mojej córce dać 50.000 posagu i nie cofam tej obietnicy. Oto jak się przedstawia mój rachunek. Córka moja otrzymała staranne wykształcenie, posiada przytem zaletę zdrowego rozsądku i dobre, kochające serce. Te przymioty przedstawiają wartość conajmniej 10.000 piastrow. Poza tem ma ona wymagania skromne, nie lubi zabaw i strojów, co przedstawia wartość drugich 10.000. Otrzymała wychowanie praktyczne jest oszczędną, potrafi poprowadzić dobrze gospodarstwo — zależy te są chyba warte ocenienia na 8 tysięcy? Umie dobrze szyć i sama sobie fabrykuje suknie, oraz kapelusze — oceńmy to na 6 tysięcy. Do całej sumy 50.000 brakuje zatem tylko 16.000: tę sumę mogę ci wręczyć natychmiast, o ile uznasz poprzedni rachunek za słuszny i nie cofniesz się przed zawarciem małżeństwa.

Podobno narzeczony, po namyśle, uznał słusność obrachunku ojca młodej panienki i twierdzi, że posag, jaki otrzymał, przewyższa o wiele swoją wartością jego oczekiwania.

Z. B.



NA MARGINESACH ŻYCIA

„Po obiedzie u wojewody, minister i osoby z nim przybyłe odbyły wycieczkę samochodami do gminy motykalskiej, w towarzystwie wojewody, komendanta policji, starosty powiatowego i referenta do spraw odbudowy. Zwiedzono 4 wsi, kompletnie zniszczone: Smugę, Koszówko, Sucharewice Małe i Suchy Wielkie. Ludność tych wsi mieszka w ziemiankach. Wrażenie przygnębiające“.

Tak dziennikarskim językiem gada telegram jednej z gazet warszawskich.

W ziemiankach!...

W siódnym roku od ukończenia wielkiej wojny, w piątym roku od ustalenia się w Polsce pokoju!...

Rzecz dzieje się oczywiście na smutnem, armatami wielkiej wojny porzucenem, Polesiu. Jest tam takich gmin więcej. Są nowożytni troglodyci i w byłem Królestwie, są na Wołyniu, we Wschodniej Małopolsce. Mamy pono jeszcze 5 powiatów, zniszczonych doszczętnie i nie odbudowanych!...

A przecież!...

Prócz czynników państwowych, które, jak to w roku ubiegłym stwierdził Sejm i Rząd podczas pamiętnej dyskusji nad odbudową, tak fatalnie odpowiedziały tym razem włożonemu na nie zadaniu, mamy przecież czynniki społeczne: sejmiki, instytucje opieki nad dzieckiem, stowarzyszenia kobiece!...

O Boże! Czyż wszystko to istnieje tylko na papierze?... a jedyną rzeczywistością realną są te wsie podziemne, te dzieci kładące, zamorzone, łamane przez reumatyzm, dziesiątkowane przez tyfus, te dzieci, chowane w ciemnicy i w ciemnocie, te dzieci chowane na kaleki, albo na zbójów!...

Nie ludźmy się! Ta smuga... ta smuga krzywdy, barbarzyństwa, rozpacz i zdziwienia, którądlugo, długo w przyszłości naszej znaczyć będzie swój przeklęty ślad!...

Istnieje powiedzenie, że „kto nie kocha dzieci, jest zbrodniarzem, kto kocha tylko własne dzieci, jest człowiekiem złym“...

Mamy dziś pono w Polsce dużo, bardzo dużo ludzi złych... I bądź co bądź, trzeba to zapisać drobnym pismem na marginesach księgi naszego życia!...

.....
Dziwną mam w ręku książeczkę. Napisał ją poeta samouk, syn malarzkiego chłopca z Łomżyńskiego. Nie spodziewał się zapewne, by mu jego miłosne strofy wydrukował jakiś wydawca, więc kupił so-

bie czcionek i skonstruowawszy prymitywną maszynę drukarską, odbił starannie na ładnym papierze... no i zapewne ofiarował umiłowanej...

...Franciszek Chrostowski — 42 strofy — 1925...

Taki widnieje napis na okładce. Wydawcy brakło widać większych liter i — liczb — więc wyrazy tytułowe wybił drobnymi gwiazdeczkami...

Wszystko to jest proste i jakieś wzruszające.

A co pisze ten poeta?

Oto pierwsza strofa:

„Lekuchny wietrzyk... Nad łąką bły podniósł się opar. Ostatnich lśnień słońca dobiega blask poprzez mgły, w iskry się krusząc i łamiąc w cień...

Mży złoto światła — minął czas zły — w promieniach idzie przyszłości dzień. Ach jakbym przyjsie to, zbliżyć rad, Byłe niem mroki rozjaśnić chat!...

A dalej są zachwyty nad przyrodą, są miłosne żale i rozpacz, są wylewy altruizmu...

Wszystko to, jako forma — słabe, jako myśl nie nowe, ale cóż?! samouk przecie! — Jako nastrój chwytą to jednak czasem za serce, czasem błysnie jakimś wyrazem, z mowy ludowej przyswojonym językowi literackiemu i dobrze przyswojonym...

Ale przedewszystkiem uderza ta samowystarczalność — mówiąc językiem harcerzy. Tak podobno w Rosji, na drewnianych, własnymi siłami sporządzonych drukarniach, drukują sobie dziś chłopci modlitewniki i kalendarze.

I nasuwa się myśl, że gdyby huragan jaki zmiotł ze świata warstwy inteligentne i ich kulturę, odtworzyliby ją i wskrzesili tacy, jak ten oto, samouczkowie prości.

Jeżeli zainteresował was ten młody poeta i drukarz i wydawca w jednej osobie, posłuchajcie jed-

nego jeszcze jego wierszyka, który w rękopisie leży przedemną.

Primityw to, jak tamte, ale interesujący:

UPIĆ SIĘ MOŻNA...

Anim się spodziewała, anim wiedział o tem, że upić można się wieczoru ciszą — kiedy gwar zmiłknie, bezszelestnie wiszą listeczki w jakimś zadumanu złotem,

Kiedy sen życia ogłuszy, jak młotem na godzin kilka, jeno serca dyszą.. świat w zmierzchu szatą odzieje się mniszą, a nad sercami gwiazdy zalegną pokotem,

kiedy miesięczny blask mroki obiele i liljowe brzoź otworzy paczki, a myśl się z myślą pochwyci za rączki, lecąc, gdzie śnieżni latają anieli.

Ach wtedy mocniej, mocniej, niżli trunkiem upić się można tych chwil pocałunkiem“

Gdyby ten młodzieniec zaczął był pisać wówczas, gdy inteligencja nasza rozkochana była w ludzie, płakano by nad temi wierszami, budowano by na nich świetne nadzieje, sprowadzono by autora do Warszawy, kształcono, rozpisywano się o zdolnościach „ukrytych pod siermięgą“ i t. d.

Dziś to już nie w modzie! Dla tego młody poeta musi nie tylko pisać, ale i sam drukować.

Dla jego rozwoju kto wie, czy to nie lepiej, że tylko gdzieś tam na marginesach przepisał ktoś jego wierszyki. Pójdzie sam! jeżeli jest w nim siła — dojdzie!...

.....

Sędzia dla nieletnich w Warszawie, ma rozległe pole do czynienia niezwykle interesujących obserwacji. Między innymi uderzyło go, że organy bezpieczeństwa publicznego sprowadzają mu raz po raz tych samych 10, 11, 12 letnich chłopców pod zarzutem „wałęsania się“.

Zauważcie dobrze: „wałęsania“ i nie pomieszajcie tego przypadkiem z „włóczęgostwem“.

Kodeks nasz bowiem, w swej głębokiej mądrości, rozróżnia te dwa pojęcia. Innym grzechem jest „włóczęgostwo“, a innym „wałęsanie się“. Jeden i drugi stanowi przestępstwo.

Na czym polega?

Oto chłopiec taki nie ma rodziny, nie ma domu, noce spędza w przytułku noclegowym, albo gdziekolwiek, a w ciągu dnia wałęsa się po mieście?

Co robi?

Sprzedaje zapalki, albo papierosy, albo gazety. Czasem odnosi pakunki z kolei, albo czatuje przed sklepami na odniesienie cięższej paczki... no różnie...

Tym sposobom zarabia na swoje utrzymanie.

Pan sędzia zauważył, że tych chłopców nie przyprowadza policja nigdy pod zarzutem kradzieży, zakłócenia spokoju publicznego przez jakąś awanturę, czy „psie figle“ ani wogóle żadnego innego nie zarzuca im się przestępstwa. Oni stale są tylko winni „wałęsania się“.

Winni są, że nie mają domu, że nie zarabia na ich utrzymanie ojciec, że ręka matki nie ułoży ich nigdy do snu.

O, winowajcy, którzy w odmętach wielkomiejskiego zepsucia tacy mali, tacy samotni nosicie godnie czystą nędzę swoją!

O ileż bardziej bohaterskie są dusze wasze od dusz wielu dorosłych jubilatów... wielu kawalerów i komandorów różnych krzyżów!

Wy, co tak uparcie „wałęsacie“ się po chodnikach bogatej stolicy i których dobry Sędzia za każdym razem „uwalnia od kary“ w przeświadczeniu, iż za sieroctwo wasze i za to, że społeczeństwo obowiązku swego względem sierot nie wypełniło... karać was przecież nie może...

Andrea



Z TEATRÓW



TEATR POLSKI

„Świętoszek” Komedia w 5 aktach
Moljera. Przekład Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Reżyserował Aleksander Zelwerowicz. Dekoracje Karola Frycza.

Teatr Polski dał Warszawie przedstawienie bardzo kulturalne i stojące na europejskim poziomie. Wystawienia i reżyserji „Świętoszka” mogłaby pozazdrościć Teatrowi Polskiemu każda wielka scena. O przekładzie Boya Żeleńskiego pisać nie będziemy, gdyż tłumaczenia jego zyskały już w Polsce zasłużony rozgłos, podkreślić natomiast należy, że soczyste i jędrne słowo moljerowskiej komedji podane było przez zespół aktorski bez zarzutów. Na czoło wysunął się, rzecz oczywista, Zelwerowicz, jako Tartuf i jako reżyser. Świetna maska i doskonale pomyślane ruchy, ciekawa mo-

dulacja głosu, wszystko świadczyło o mocnym opanowaniu wielkiej komedji Moljera, którą Zelwerowicz wybrał jako sztukę graną na swem jubileuszowym przedstawieniu.

Doskonałym uzupełnieniem Zelwerowicza był Maszyński w roli Orgona, chudy, ruchliwy, niespokojny, o latających oczach i szeroko roztwierających się ustach, nerwowo uderzający się rękoma po nogach — w chwilach podniecenia niepokoju i złości. Był doskonałym w zestawieniu z namaszczonym spokojem świętobliwego nicponia, Tartufa. To też scena, gdy Orgon pada na kolana przed klęczącym Tartufem, była doskonała.

Wesoło i wdzięcznie odegrała rolę rezolutnej Doryny — pani Pancewiczowa, która bawiła teatr i sama zdała się bawić doskonale. Pani Sulima w roli wytwornej i cnotliwej małżonki Orgona miała szlachetną linję i gest, zresztą w niezwykle pięknej toalecie, skomponowanej z barwy granatowej, białej i rdzawo-czerwonej, wyglądała bardzo malowniczo. Pp. Czaplińska, Gromnicka, Neubelt, Skrzyński i Warnecki dali starannie opracowane role.

Jeżeli sztuka będzie często powracać na afisz, publiczność zda egzamin ze swego smaku. Będzie to chlubnie świadczyło o dobrym guście stolicy. Pesymiści twierdzą, że niestety, teatr będzie świecić pustkami, gdyż Warszawa nie cho-

dzi na sztuki tej wartości i tego poziomu, co „Świętoszek.” Ale pesymiści myślą się często — oby mylili się i tym razem. p.

KSIĄŻKI
I WYDAWNICTWA
NADEŚLANE

Kleszczyński Edw. „Białe noce,” powieść. Wyd. Gebethnera i Wolffa.

Ostrowski Jerzy „Chorągiew na dachu” i „Sztandar na maszcie.”

Araszkiewicz Feliks „Bolesław Prus i jego ideały żyaiowe.” Nakładem domu Wyd. Fr. Głowiński i s-ka w Lublinie.

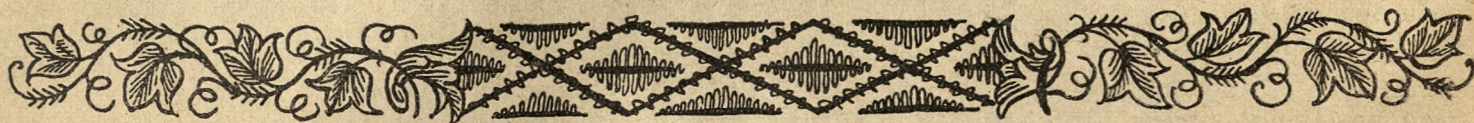
Konarski Lucjan „Czarne łabędzie.” Wyd. Ostaszewskiej i S-ki.

Urbanowski Wacław „Błękitne serca.” Wyd. Edwarda Rogużińskiego.

Czeska-Męczyńska Marja „Demon życia.” Wyd. „Książek zajmujących,” Książnica Naukowa w Przemyślu.

Adamowicz W. (Wiesława) „Polne róże,” powieść z życia dziewcząt, „W górskim miasteczku.” Wyd. Polskiego T-wa Pedagogicznego we Lwowie.

Kierkowski Kazimierz. Przewodnik po Włoszech, (ze szczególnem uwzględnieniem Rzymu). Nakład B. Grabowskiego, skład główny w księgarni M. Arcta.



OD WYDAWNICTWA

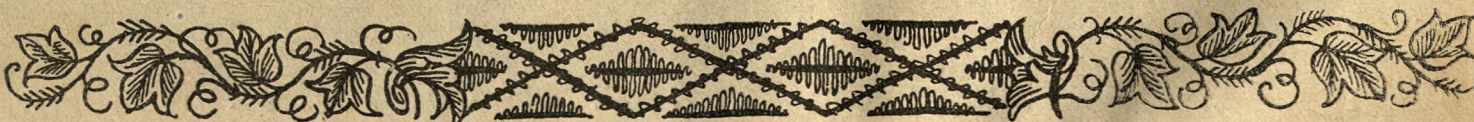
SZANOWNE PANIE PRENUMERATORKI „BLUSZCZU” PROSIMY:

1) Przed wyjazdem na letnisko nie zapomnieć o wpłacie prenumeraty za miesiące wakacyjne, a to celem uniknięcia przerwy w wysyłce tygodnika, względnie nawet pozbawienia się możliwości późniejszego otrzymania nieopłaconych we właściwym czasie numerów, gdyż nakład „Bluszczu” jest ściśle zastosowany do każdorazowego zapotrzebowania.

2) Wcześnie powiadomić Administrację o zmianie adresu, dołączając znaczek pocztowy za 30 groszy.

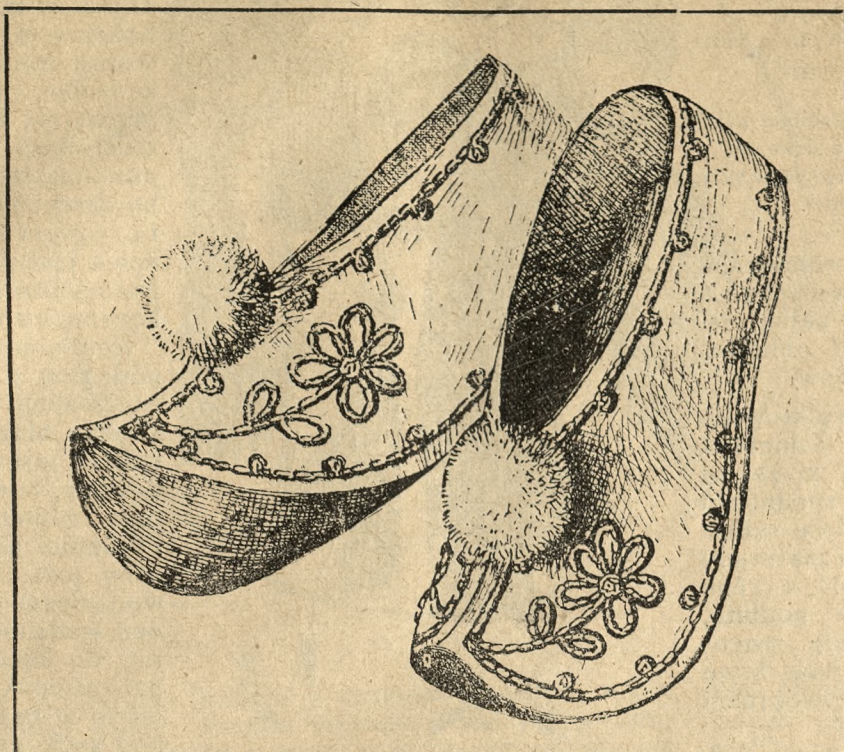
Czeki P. K. O. dołączyliśmy do poprzedniego numeru.

Nieregularne wpłacanie prenumeraty podrywa egzystencję pisma, gdyż wydawnictwo za papier, druk, klisze, honorarja autorskie i t. p. płacić musi zaraz gotówką.

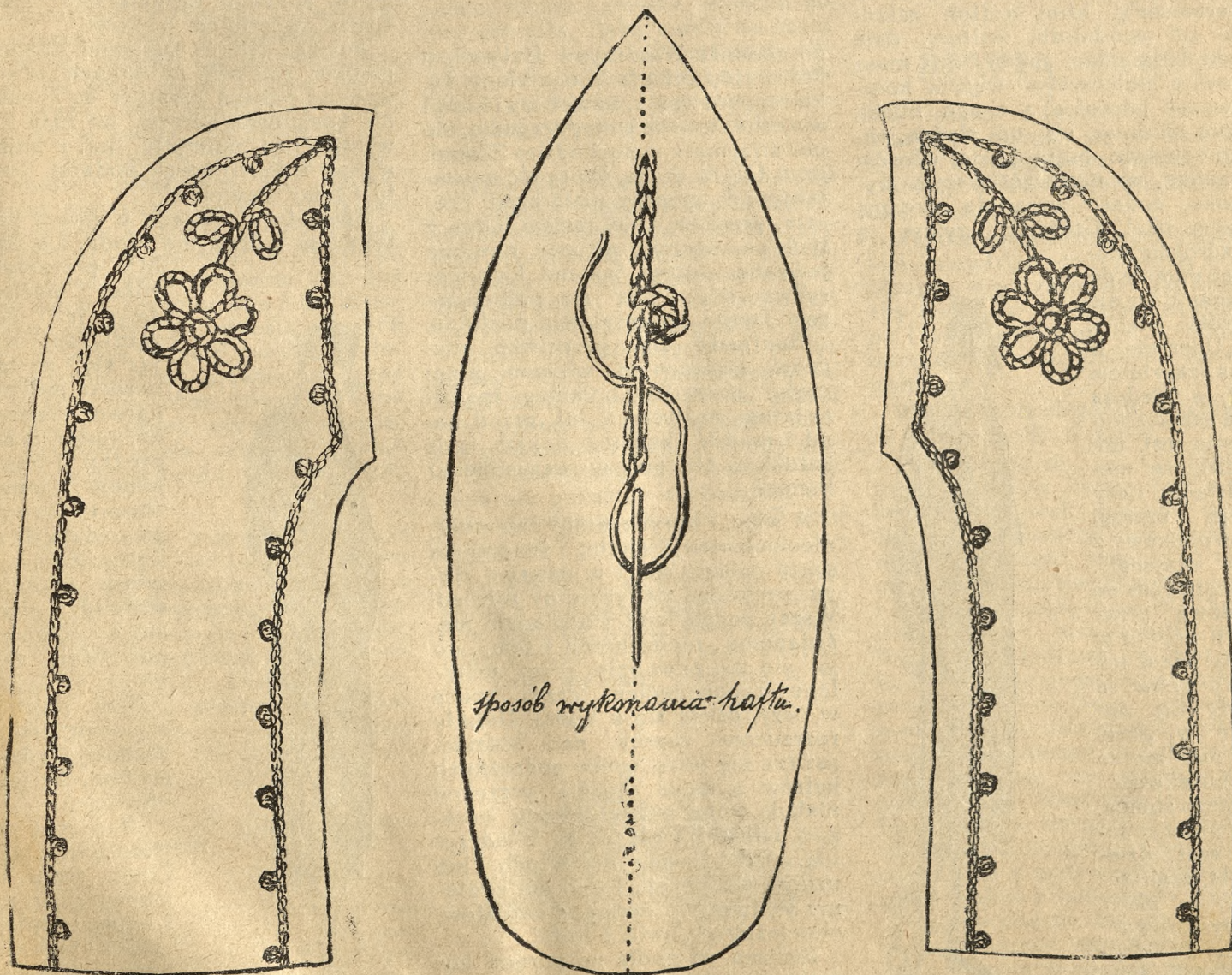


PANTOFELKI DLA ROCZNEGO DZIECKA

Podajemy fason pantofelków, wykonanych z aksamitu, sukna, jedwabiu, albo miękkiej skóry (można użyć skóry z długich, glansowanych rękawiczek,) podszewkę daje się tego samego koloru, co wierzch, a wewnątrz wyściela pantofelek białą flanelą. Podeszewkę i boki kraje się podług podanego wzoru nadda-



jąc pół ctm. w około na szwy. Na wierzchu wyszywa się załączony deseń ściągciem łańcuszkowym, jedwabiem, lub bawełną, dobraną do koloru materiału. Pantofelek z podeszwą zeszywa się na lewo okrętką i odwraca. Wewnątrz wyściela się flanelką, którą trzeba przyrygować, aby się nie odymała.



KRÓLOWA MODA

Dziś, prawie wyzwolona z szat,
Z ciężaru mych warkoczy.
Z „egipskim” w ustach idę w świat
Pod hełmem, kryjąc oczy!

Uderzam w was szkarłatem ust
I srebrnym śmiechem dzwonię!
Na szyi mej wąż barwnych chust,
A pereł sznur na łonie!

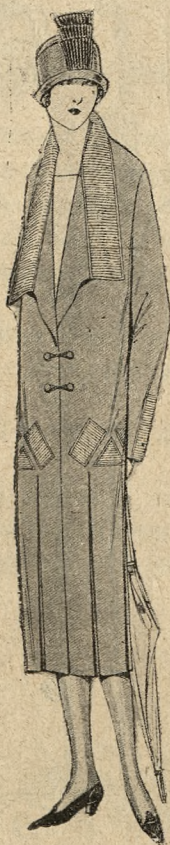
Z pierwszym słońca promieniem
przyszłaś znów, Ty, kapryśna, a
szczodra! Ręce Twoje pełne są,
a wyobraźnia, niby róg obfitości,
sypie ne nas tysiące cudów!

Ubrana jesteś w mistrzowsko
skrojony „Trois pieces.” Żakiet tak
długi, że łatwo służyć może za
eleganckie palto letnie, spódniczki
widać z pod niego zaledwie rąbek.
Zwiewny jest i lekki, bo materiały
modne nie ważą prawie nic, a crêpe
de chine, którym go podbito,
to, jak listek róży na szalę rzucy-
ny. Pod artystyczną jego linią, kryje
się druga Twej zmyślnej wyobraźni
kreacja!

„Casaquin”, z tak modnej dziś
charmeuse’y, który o dłoń zaled-
wie od spódniczki krótszy, daje
efekt eleganckiej sukni. Szyję masz
spowitą stubarwnym węzłem kosz-
townego jedwabiu, a z pod budki,
którą chronisz się od słońca, wi-
dać zaledwie bujny pukiel włosów
i rzadko, w najszcześniejszym wy-
padku, cudną, wyrazistą źrenicę
Twego oka! Częściej, kryjesz ją
zazdrośnie, mó-
wiąc dumnie do
tłumu, który nie
dorósł Ciebie.

„Uderzam w
was szkarłatem
ust, a władcza
siła mego spoj-
rzenia jest tak
wielką, że nie-
widziane, oczy
moje, szeregi
niewolników z
was uczynią!”.

Jesteś, jak na
królowę przy-
stało bogata w
szaty! Masz ich
kufry pełne, a
kiedy Cię po-
woła w góry,
czy nad morze
dokuczliwość
letniego słońca,
weźmiesz ze so-
bą szat dzie-
siątki, szali tu-
ziny, a okryć
przystosowa-
nych do oko-
liczności tyle,
ile wymaga te-



go godność Władczyni! O Pani!, u
której stóp kobieta bije pokłony. Ty,
której panowania, nawet łzy i krew i
wszechświatowa wojny tragedia, nie
powstrzymała w pochodzie! Złorze-
czyć Ci? to droga, którą iść musia-
łabym jak samotny pielgrzym! Zre-
szta, przecież i ja jestem jedną z
tych co zarzuciły na swe ramiona
jedwabne wstęgi, jakimi kierujesz
rydwan swój i gną się pod cięża-
rem Twego tryumfalnego pochodu.

Buntować się, przeciwko rze-
czom uświęconym wiekami, prze-
ciwko porządkowi, który rządził
światem, na tysiące lat przed na-
mi i rządzić będzie, dokąd jakiś
kataklizm nie położy wszystkiemu
końca?

A więc, wyrywam się przemocą,
nieokiełznanej chęci, stworzenia
partii opozycyjnej i w dalszym cią-
gu prowadzę niedyskretny wywiad!
Wszak podglądam! Podglądam nie-
świadoma niedyskrecji i tem, co
mi się tak powabnie przez uchyl-
one zapomnieniem drzwi, rzuca
w oczy, dzieję się z Wami! Dokoła
rozrzucone skarby, nad którymi
zawrze się jutro wieko podróżnych
kufrów i trzeba będzie protekcji
nielada, aby w zagraniczny pasz-
port bogatej, podążyć za Władczy-
nią, nad Ocean, do Włoch, lub
uzdrowisk Francji, jeżeli nie zdoła-
my wydrzeć jej cennych sekretów,
choćby w chwili odlotu!

Bielizna, co padła na poręcz ko-
zetki, pastelową chmurą, nie zaj-
mie wiele miejsca. Jest ona mięk-

ka, jedwabna, bez żadnych kokard,
zaledwie dyskretnym motywem rę-
cznego haftu, lub mereżki, wykoń-
czona, w maleńkie kształty zakłeta!
Kosztowne, bardzo kosztowne... nie!
Wszak wie z nas każda, że gorset,
koszulka, majteczki i halka, to
przeżytek! Nosi się teraz wymyślny
biustonosz, na to historyjkę przy-
pom nającą dziecięce majtasi, tyl-
ko zaczynającą się od ramion, a na
to wprost — suknię, lub o ile ta
kowa jest przejrzystości od mgieł
zapożyczonych, cienkie opalowe, wy-
koronkowane dessous!

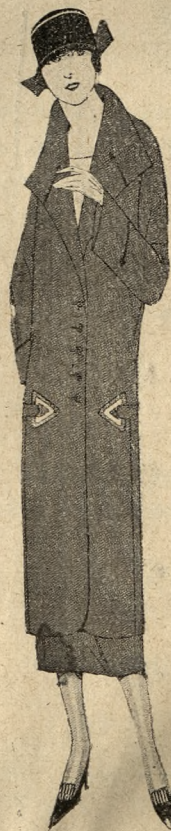
Kostjumów kilka. Jeden ciemny
podróżny z żakietem poza kolana,
i jedwabną, plisowaną, w jednym
kolorze bluzę, długą i luźną! Drugi
strojny, jasny, a wreszcie biały, je-
dwabny, mięsisty i wspianiały, któ-
rego żakiet, na gładką, wąską,
i świetnie skrojoną sukienkę zarzu-
cony, jest długości płaszcz i z po-
wodem go zastąpić może, je-
żeli kładziemy go na strojną suk-
nie, do kasyna, czy teatru. Płaszcz
gabardinowy, klapy podbite mater-
jałem w barwną kratę, a kołnierz
pod szyję zapięty, zakończony dłu-
giemi końcami, formującymi szal,
tymże materiałem podszyty.

Suknie? Nie — sukienki! Krótkie
gładkie, zaledwie na bokach pliso-
wanemi pasami rozszyte, są śliczne
ale kosztowne bardzo, bo cały ich
wykwint, to materiały, jak z bajki,
a przy wieczorowych dodatki, haf-
ty i lamy bezcenne!

Specjalną szufladę w swym po-
dróżnym kufrze, ma Moda, dla sza-
li! W przeszłym
roku, nosiły-
śmy je go-
rączkowo, bo-
jąc się, że tak
bardzo modne,
barwne i noszo-
ne, opatrzą się
prędko i berło
jakieś innej,
ślicznej fanta-
zji oddadzą.
Tymczasem
miały ustąpić,
wróciły z wio-
sną z całkowitą
pewnością sie-
bie.

Szal dzisiej-
szy od przeszło-
rocznego różni
się tem, że jest
ulepszony.

Ulepszony, to-
znaczy droższy!
Znam jeden z
najbogaciej
i najgustowniej
zaprowadzo-
nych sklepów
w Polsce (Dom
Jedwabi w Po-



znaniu), który ze znaną sobie umiejętnością obsłużenia klienteli i rzadką w stosunkach naszych uprzejmością, rozrzucił przedemną sztuki jedwabi przywiezionych z Paryża, specjalnie na szale! Jedwabie te są projektowane przez wybitnych w swym fachu artystów i wychodzi ich w świat po jednej sztuce, to też i cena jest odpowiednia (od 60 do 100 zł. za metr). Jednak są tak piękne, że darować im łatwo można lekkomyślną cenę.

Gdy w przeszłym roku, modne były przeważnie szale wełniane fabryczne i ręczne, tak bardzo nad naszym zimnem morzem potrzebne, dzisiaj nie widuje ich się prawie, za to sygnalizują nam z Paryża „Krzyk mody“, z pięknego crêpe de chine'u, szal z monogramami przyjaciółek, przyjaciół i wielbicieli. Bardzo ładne pomysły i elegancje! Jednak zarzuciłabym jedno! W jakim stanie i kiedy wróci do prawej właścicielki szal, jeżeli sympatja ludzka i wymowny jej dowód wcielony w dziesiątki monogramów, przeciągną go, niczem przez pierścień, przez tuziny rąk znajomych i hafciarek? Uroczą pani, której urodę miał wysubtelnić i podnieść zwój jedwabiu lila, lub pervenche, berło w tym roku dzierzający, zamieści go, w tuzinie innych kiedy jesień zacznie purpurą i złotem stroić świat, a zwiewne krepy i muśliny jedwabne, zdystansowane zostaną przez etole futrzane. A świeżość szala, czyż nie podlegnie też poważnemu znakowi zapytania?

Gdyby mnie losy zawistne nie wyrwały z murów stolicy, byłabym starała się przemówić do serca Władzom Muncypalnym, a otrzymawszy pozwolenie wzniesienia, na jednym z placów położonych przy ruchliwych arterjach śródmieścia, kiosku mieszczącego kilkanaście pracownic, stworzyłabym wytwórnię, vel hafciarnię monogramów „a la minute!“

Czyż nie wcielenie marzeń szykownej Warszawianki?

Spacer, rendez vous, więz cudownych wspomnień i złota kłamra, która łączy tak stylowo, wspomnienia z teraźniejszością! Monogram na szalu! Powrót do domu opro-



mieniony urokiem przeżycia, a gdy światła pogasną i nikt już w orbitę naszego nastroju wkraść się nie może, śliczna główka złożona do snu obmyśla, jaką barwą na szalu jej zapisze się nowe przeżycie. W marzeniu tem jest zawsze zarodek lęku i pragnienia, gotowość walki do upadłego i przecucie kapitulacji!

Jakby nie mówiono o szalu, źle czy dobrze, złośliwie czy życzliwie sezon wiosenno-letni, kroczy pod jego sztandarem! Jakim on będzie, nobliwym, czy ekscentrycznym, zbyt barwnym, czy niepotrzebnie szarym w tonie, kokietyjnym, swawolnym, czy romantycznym, to już zależy ściśle od indywidualności właścicielki. Królowa Moda, kazała nam wpisać go na pierwszej stronie przykazań chwili, a opinja głosi, że szanująca się kobieta bez szala nie pokazuje się ludziom w ogóle, w domu, na ulicy na balu w teatrze i podróży.

Dostosować się do tego przykazania można dwojako, albo mieć tyle szali, ile toalet, albo też dużo praktyczniej, jeden piękny neutralny, który wybrany z myślą o na-

szych sukniach, łączyłby w sobie barwy, harmonizujące ze wszystkimi.

Nie ulega wątpliwości, że Moda po skończeniu swego szczytnego posłannictwa wśród Warszawianek, odjeżdżając, wychyli się z okna luksusowego wagonu, aby rzucić raz jeszcze władczym okiem na teren swej owocnej i wdzięcznej pracy. Jestem jednak głęboko przekonana, że w ręczę swej, miast przysłowiowej chusteczki, którą znaki pożegnalne dawać się zwykło złączy pęk szali stubarwnych, a powiewając niemi z czarownym uśmiechem rzuci w serca nasze, ziarno nakazu, który w imię posłuszeństwa spowie nieza długo Syreni Gród, w barwną mgłę, igrających na wietrze i w słońcu szali!

W.

REWJA MODY

W czasie „Tygodnia Macierzy Szkolnej“ odbyła się w Salonach Hotelu Europejskiego Rewja Mody, z której dochód przeznaczono na cele Macierzy.

Wspomnienia widzianych krawiec-kich, arcydzieł, sen z powiek moich płoszą, więc zasiadam do biurka, aby podzielić się swemi wrażeniami i zawczasu wyłowić z odmętu wspomnień, najgodniejsze zanotowania.

Warszawskie elegantki zbiegły się na pokaz mody tłumnie!

Rozglądając się po zgromadzonych, zdziwiona byłam ilością sykownych sylwetek i pięknych toalet. Szkoda, że zwarty tłum spektatorek, nie pozwolił zanotować w pamięci wszystkich widzianych cudów i arcydzieł pomysłowości. Królowały jednak, nad innemi panie: Smosarska, królowa naszego ekranu, w sukni z ponsowej georgette'y przybranej złotą lamą i różnobarwnym haftem, młodzieńca i uroczą małżonka hojnego ofiarodawcy ze tonu, nagrody za najpiękniejszą suknię, pani Wabińska, w czarnej fulgurante z oryginalnie skrojoną tiuniką, redaktorowa Czempieńska, w toalecie z matowego granatowego jedwabiu z aplikacjami i sznelą.

Ogólny podziw wzbudziły cztery panie, siedzące przy jednym stole, a ubrane w sposób następują-



cy: gładka suknia z matowego jedwabiu, okrycie trois quarts z szorstkiej wełny, mały filcowy kapelusik, pończochy i pantofelki — wszystko w jednym kolorze. Jedna z pań była w ten sposób od stóp do głów obciągnięta kolorem perwenche, druga cyclamene, trzecia gris perle, czwarta mocca. Trudno oddać słowami, wrażenie doskonałej harmonji, jakie się odbierało, patrząc na ten zespół, szkoda doprawdy, że tak niewiele osób może sobie pozwolić na tak doskonałą, wyszukaną w swej prostocie elegancję. Refleksje te przerwało ukazanie się modeli. Zapowiedziane przez pana Jastrzębiec-Rudnickiego konferenciera. Poprzedzane przez małego murzynka, niosącego tablicę głoszącą firmę, uroczyste manekiny wystąpiły na estradę. A wtedy tłum eleganckich kobiet, zakolysał się, zawirował i z takim impetem natarł na estradę, że w jednej chwili, pochłoniął, jak morze, małego murzynka wraz z jego tablicą. Jak oliwa na wzburzone fale podziało na podekscytowane spektatorki zapewnienie pana Jastrzębiec-Rudnickiego, głoszące dobrą wolę manekinów, które pomimo szalonego ścisku, wyraziły gotowość przejścia pomiędzy publicznością, celem napojenia wzro-



P. Mila Kamińska w płaszczu czarno-białym.
Fot. J. Malarski

w wyborze nazw. Był i „accroche coeur” i „chodźmy na kolację” i „bien nomé” ten ostatni, czarno-biały płaszcz noszony przez panią Milę Kamińską, która ukazała się jeszcze oczom naszym w pięknej robe-manteau z białego haftu na czarnem tle, do tego mały cylinderek przybrany wspaniałymi piórami strusimi, przypiętymi z tyłu kapelusza i strzelającymi zwycięsko w górę.

Śliczny model „Derby” noszony przez panią Pogorzelską, krynolinka z tiulu lila i fioletowego, mały kapelusik i parasoleczka w tych samych kolorach, był jedyną na całym pokazie krynolinką! model nadaje się tylko dla osób bardzo szczupłych i filigranowych.

Panna Gorczyńska ukazała się oczom naszym w toalecie koloru „blonde”, całej zaszytej poprzecznie wązjutkami walansienkami, na to narzucony istny płaszcz z bajki: złocisto-rdzawe koronki, kołnierz ze strusich piór do cienia. Druga suknia również noszona przez pannę Gorczyńską, z ninon koloru cyclamene, tworzyła długi pancerzyk haftowany srebrem poniżej bioder układana w zęby kłoskowe falbana z koronki, ufarbowanej na kolor sukni. Do tego kapelusik ist-



P. Marja Gorczyńska w toalecie „blonde”.
Fot. J. Malarski

ku wszystkich łaknących, demonstrowaniami cudami.

Przesunął się przed naszymi olśnionymi oczami, czarny płaszcz spacerowy z firmy Myszkowski, przybrany szerokim kołnierzem z kaczyczych piór całości dopełniał kapeluszek też z piór kaczyczych (Maison Henriette). Strój ten, uwydatniając budowę i doskonałość linii, zazdrośnie krył piękną twarz demonstrującej go pani Macherskiej, stąd refleksja, że stworzony byłby dla osoby o pięknych i posągowych kształtach, która niezbyt ładną twarz chętnie kryje w cieniu.

Burze oklasków wywołało ukazanie się pani Skalskiej, w szafirowym, angielskim płaszczku od Zmigrydera i takimż małym filcowym kapelusiku. Pod płaszczem sukienka w białe i szafirowe desenie, podobne do wielkanocnych pisanek. Pani Skalska ukazała się oczom naszym w kiku jeszcze toaletach, z których ostatnia miano „tygrysicy” nosząca, wyłoniła się z pod skromnego sportowego płaszczka jako fourreau, z jasno popielatego jedwabiu, ręcznie malowanego w czarne pręgi i kolorowe gwiazdy, do tego ręcznie malowane pantofelki od Doleya.]

Nie można zarzucić naszym wielkim magazynom braku wyobraźni



P. Janina Macherska w sukni lila haftowanej pacioreczkami.
Fot. J. Malarski

ne cacko z georgette'y koloru cyclamene, spora budka podwinięta z tyłu, wymarszczona w drobne bufki.

Z uznaniem należy podkreślić wielkie bohaterstwo pani Kazimieiry Niewiarowskiej! Ta pełna zaparcia się siebie niewiasta wystąpiła na pokazie w męskim smokingu firmy Borkowski i dowiodła jasno, że jeżeli „Najpiękniejsza z Kobiet”, wygląda w tem przebraniu tak brzydko, to jej mniej urodne siostrzyce, nie powinny nawet próbować, o ile nie chcą budzić panicznego popłochu. Ręczę, że jeżeli na pokazie były panie, noszące się z myślą niezdrową przebrania kobiet po męsku, to musiały wyjść radykalnie uleczone, po pełnym poświęcenia czynie pani Niewiarowskiej.

Z tem większym zachwytem przyglądano się potem pani Ma-

cherskiej w toalecie od Zmigrydera, z lila chiffonu, haftowanego lśnjącymi koralikami. Dwa olbrzymie strusie piora koloru saumon, tworzyły po bokach oryginalne panier, wielka kreza z tych samych strusich piór, dopełniała ekscentrycznej, lecz bardzo powabnej całości.

Przy pochlebnych szmerach przesunęły się też modele od Braci Jabłkowskich. Firmie Tytus Kowalski służyły za modele pani Ordon-Sosnowska i panna Panenkówna. Demonstrowały one przeważnie krety, olbrzymie peleryny, długie płaszcze kloszowe i obcisłe, z wielkimi, otulającymi twarz kołnierzami. Po zdjęciu futer ukazały się panie: Ordon-Sosnowska i Panenkówna, pierwsza, w sukni szaro zielonej ze złoto-czerwonym haftem i wspaniałym kapeluszu

z brokatu, z mnóstwem czarnych crossów, druga w prześlicznej toalecie, en tons dégradés, przechodzących z błado-różowego w ciemny karmin i przybranej u dołu również cieniowaną koronką. Przesunęło się przed naszymi oczami jeszcze wiele, wiele cudów, ale spamiętać i spisać wszystko, byłoby niepodobieństwem!

Większość gości była tak oszłamiona nadmiarem wrażeń, że opuściła zgromadzenie natychmiast. tem więcej, że decyzja, co do przyznania pierwszeństwa, p. Górczyńskiej w sukni „blonde” została na kilka dni odłożona. Ci, co mieli mocniejsze głowy, tańczyli jeszcze parę godzin, a w ich gronie, bawiły się może najwesielej, z miłym poczuciem spełnionego obowiązku, urocze artystki—modele, które w międzyczasie zdążyły się przebrać, po raz już nie wiem który. W. L.

ROBOTY LUDOWE

Niewyczerpanem źródłem pomysłów twórczych, źródłem, z którego niejednokrotnie czerpie współczesna sztuka stosowana, są roboty ludowe. Aby zapoznać z nimi nasze Czytelniczki, zwracamy się z prośbą do wszystkich tych, w których okolicy znane są jakieś roboty, o przysyłanie nam opisów wraz z fotografiami, lub rysunkami.

HAFTY KAPIŃSKIE

Lud w Łowickim cechują duże zdolności w wykonaniu robót ręcznych. Księżanki w czasie wolnym od zajęć gospodarczych z wielkim zamiłowaniem robią roboty ręczne jak: barwne tkaniny, płótna i wycinanki, hafty, pajaki, dzbanuszki z jajek i t. d.

Szczególną uwagę należy zwrócić na hafty ludowe ich wykonanie i rodzajowość.

Wieś Kapina, położona w powiecie Łowickim nad rzeką Bzurą, jest siedliskiem pięknych haftów ludowych, t. zw. „Kapińskich”.

Wykonywują hafty dziewczyny tej wsi, pod kierownictwem, mieszkającej na miejscu, siostry Franciszkanki, z ramienia Towarzystwa Popierania Przemysłu Ludowego. Pra-



Serwetka wykonana we wsi Kapina w Łowickim

ca zorganizowana jest sposobem chałupniczym. W długie wieczory jesienne i zimowe, dziewczyny a nawet i starsze dzieci zajęte są haftowaniem.

Na szarem, samodzielnym płótnie—zdolniejsze wprost od ręki, mniej zdolne z wycinanki układają wzór i rysują go ołówkiem. Wzór ten haftują lnianymi niciami, specjalnie w tym celu przedzonemi i własnoręcznie farbowanemi na kolory mało jaskrawe.

Ściegi haftów są bardzo urozmaicone i charakterystyczne. Widzimy w kompozycjach ściegi, tworzące kratkę, supełkowe, słupkowe, co ożywia całość motywu i uwypukla.

Przeważa jednak ścieg łańcuszkowy i tak zwane haftowanie atłaskiem.

Należy podkreślić wybitne zdolności kompozycyjne dziewcząt, które każdą daną płaszczyznę płótna umiejętnie wypełniają pięknym wzorem.

Najlepszym materiałem do pracy jest młode pokolenie, obdarzone oryginalną pomysłowością.

Hafty Kapińskie wyróżniają się pomiędzy haftami w Łowickiem, bogactwem motywów, pastelowym tonem barw, nieraz wprost wykwintną stylizacją rysunku daleką od realizmu zwykłych haftów i wycinanek ludowych.

A. Zaleska,

Skiernewice, w maju,

PIELĘGNOWANIE WŁOSÓW

(ciąg dalszy)

Choroby włosów należy podzielić na trzy grupy:

1. Choroby grzybkowe, bardzo zaraźliwe, uporczywe w leczeniu.

Jedną z nich jest grzyb woszczynowy. Jest to pasożyt roślinny, z grupy pleśni. Nazwa pochodzi stąd, że ten pasożyt, dostając się w głąb włosa, niszcząc go, rozrasta się na naskórku i tworzy warstwę żółtego pokładu, przypominającego wosk pszczelny.

Choroba ta jest bardzo pospolita, zwana parchem, często spotykana u żydów i wogóle w bardzo zaniedbanym społeczeństwie, nawiedza całe rodziny. Grzyb rozmnaża się bardzo szybko. Przy zaniedbanych wypadkach, włos nie odrasta, pozostają łysiny.

Parch jest bardzo zaraźliwy, dlatego też trzeba uważać na grzebienie — w tej formie najłatwiej się przenosi, zwłaszcza u fryzjerów.

Drugą chorobą włosa samego jest liszaj strzygący. Jest to także grzyb spotykany najczęściej, u dzieci. Zajmuje włos wraz z zarodnikami i niszczy go.

Cierpienie to nigdy nie powoduje całkowitego wyłysienia, tworzy miejscowe placki łyse i miejsca nieregularnie przystrzyżone.

Siedliskiem zakłady wychowawcze, szkoły. Ciekawym jest zjawisko, że gdy przychodzi u dziecka wiek pokwitania następuje samowyleczenie.

Jak parchem tak i liszajem strzygącym zarazić się można przez wspólne sypianie, używanie tych samych grzebieni, szczotek i nakryć głowy. Przenosi się też przez zwierzęta.

2. Stan chorobowy skórny, zwany łojotokiem, jest najczęściej powodem wypadania włosa, w for-

mie powolnej, pozornie nieznacznej. Można śmiało twierdzić, że 90 proc. wyłysienia mężczyzn, a przerzedzenia włosów u kobiet, spowodowany jest łojotokiem skóry.

Zastanawiającym jest wpływ gruczołów płciowych kobiecych na łojotok skóry, a tem samem na wypadanie włosów.

Kobiety, które tracą dużo włosów z powodu łojotoku, przestają je tracić w czasie ciąży. Włosy stają się gęstsze niż były przed ciążą. Wypadanie włosów ustaje zwykle w trzecim miesiącu ciąży, a występuje z dawną siłą w trzy miesiące po porodzie.

Ten okres trzymiesięczny tłumaczy się czasem, który upływa od zamarcia włosa do jego wypadnięcia, t. j. 75 do 90 dni.

U dzieci łojotoku niema do lat 15-tu. Dopiero łojotok może wystąpić z chwilą dojrzewania gruczołów płciowych.

O ile nie zapobiegliśmy temu wypadaniu wcześniej przez odpowiednią higienę włosów i skóry, będzie ono postępowało stale i w 35-tym roku życia, czasem wcześniej mężczyzna będzie łysy, a kobieta będzie miała znacznie przerzedzone włosy.

Wyłysienie plackowate nie powoduje zmian w skórze ani we włosach, występuje na tle nerwowym, albo powodem jest schorzenie gruczołów o wewnętrznym wydzielaniu. Leczenie może dać dobre wyniki.

3. Choroby włosów, mające przyczynę w organizmie są: wyłysienie urazowe, które występuje z powodu uderzenia, zwłaszcza w wieku dzieciennym.

Wyłysienia z powodu chorób zakaźnych i wszelkich rodzajów chorób chronicznych. I tu także występuje charakterystyczny objaw, że wyłysienie nie występuje od razu po chorobie, albowiem jak to wspomniałam, po obumarciu cebulki, włos tkwi w skórze jeszcze 6 tygodni i po upływie tego czasu dopiero wypada.

Przechodzimy z kolei do właściwej pielęgnacji włosów.

Jakie są zatem wskazania należytej higieny włosów?

Z tego, co powiedzieliśmy o rozwoju włosów, wynika jasno, że inaczej trzeba pielęgnować włosy u dzieci, a inaczej u osób dorosłych. Ponieważ włos rośnie z korzenia, a korzeń tkwi w skórze, za-

tem dbać należy przede wszystkim o skórę głowy.

Pielęgnowanie włosów u dzieci do lat 10—14, będzie polegało na ustrzeżeniu ich od zakażenia grzybami chorobotwórczymi, od wszawicy i na pielęgnowaniu czystości skóry. Zasadniczo powinniśmy, natychmiast po dostrzeżeniu jakiegokolwiek zmiany chorobowej na skórze owłosionej, udać się po poradę do lekarza.

Dzieci w szkołach i ochronach łatwiej się zarażają, wymagają więc tam pilniejszej opieki. Każde dziecko w domu, a tembardziej w ochronie winno mieć swe własne: grzebienie, szczotkę, ręcznik i t. p. Należy pilnować, by nawet dla zabawy nie zamieniały nakryć głowy.

Dzieci chorych należy przede wszystkim nie posyłać do szkoły — w ochronach odosobnić. Głowy chore powinny być szczelnie zaopatrzone, by nie mogły się zarazić dzieci zdrowe.

Pielęgnowanie włosów u dzieci zdrowych ogranicza się do starannego mycia głowy wodą i mydłem — chłopców codzień, dziewczynki jeden lub dwa razy na miesiąc.

Częste mycie jest zbyt częste. Skórę chronią długie włosy, które natomiast trzeba dwa razy na dzień starannie szczotkować, by z nich szczotką zebrać cały kurz.

Zbyt częste mycie może powodować łamanie się włosów i rozszczepianie na końcach. Wszystkie te zmiany są wynikiem nadużycia mydła, szamponów, sody i amoniaku. Przytem, u rozmaitych osób są rozmaite rodzaje stanów skóry, przeto wogóle trzeba bardzo indywidualizować stosowanie środków.

Częste mycie u chłopców, wywołałoby także te zmiany, które jednak są niewidoczne, gdyż końce włosów się strzygą.

Myć włosy należy w letniej wodzie, najlepiej deszczowej, można też do zwykłej wody dosypać łyżkę sody oczyszczonej na miednicę wody. Unikać należy zimnej wody, zwłaszcza zimnych tuszów.

Co się tyczy mydła, jakich należy używać, to przy stanach chorobowych włosów musi zdecydować lekarz specjalista. Ogólnie biorąc przy np. łupieżu, łojotoku są najbardziej stosowne dziegiowe i siarkowe.

Włosy zdrowe myć należy mydłami obojętnymi. Wszelkie renomowane szampony niszczą włosy najfatalniej.

Najlepszym atoli jest płyn, przygotowany w domu, tani, dobrze oczyszczający skórę i włosy i absolutnie nieszkodliwy.

Przepis: 2 żółtka, 100 gr. spirytusu mydlanego, pół łyżki boraksu



i pół łyżki salsmiaku rozpuścić w pół litrze wody przegotowanej. Włosy należy zamoczyć w letniej wodzie następnie z tego płynu zrobić pianę na głowie i pozostawić pianę na 5 minut.

Należy splukiwać wielką ilością wody letniej, dodając kwasu octowego 2 łyżki na miednicę lub octu owocowego pół szklanki na dużą miednicę wody.

Myjąc włosy długie najmocniej i najskrupulatniej trzeba oczyszczać przedewszystkiem skórę. Dzielić włosy na pasma i miękką szczoteczką wcierać pianę i obficie splukać.

Po umyciu suszyć, wycierając poprzednio ogrzanymi ręcznikami, przy piecu lub kaloryferach—natomiast zbyt forsownie stosowane przyrządy elektryczne ogromnie niszczą włosy.

Po osuszeniu rozczesać.

Czesanie powinno się odbywać dwa razy dziennie, rano i wieczorem.

Rano należy czesać co najmniej pięć minut szczotką twardą i grzebieniem o zębach dość ostrych. Czesać należy dość silnie, przyciskając grzebień i szczotkę. W ten sposób wykonywa się odpowiedni masaż skóry na głowie, co sprzyja porostowi włosów. Następnie należy pociągać włosy w kierunku, już to ku górze, już to ku dołowi, co stanowi niezwykle pożądaną gimnastykę włosów. Taki masaż, przy zdrowych włosach należy czynić przynajmniej raz na 10 dni, t.j. po każdym myciu głowy. Po rozczesaniu należy puścić włosy luźno, co najmniej na 10 minut, by umożliwić dostęp powietrza, następnie ułożyć włosy, nie używając szpilek drucianych, jedynie rogowe, w ilości jaknajmniej.

Drugi raz wieczorem należy włosy czesać mniej więcej tak samo, o ile możliwości znowu rozluźnić włosy na kilka minut, następnie spleść każdy warkocz lub węzeł bez szpilek, nie używając czepeków nocnych, które tamują dostęp tak potrzebnego powietrza.

Uczesanie należy zmieniać często, by kierunek włosów nie był ten sam.

Szkodliwymi bardzo są: sztuczne warkoczki, podkłady, wstążki, ciężkie kapelusze, gdyż wszystko to utrudnia dostęp powietrza.

Przybory do czesania należy myć 2 razy tygodniowo wodą z mydłem i amoniakiem gdyż osadzające się na nich wyczesane z głowy kurz i bakterie nie zmyte, wczesują się na nowo we włosy.

Dr. med. J. Świtalska.

ZDROWIE NASZYCH DZIECI

FIZJOLOGJA NOWORODKA I NIEMOWLĘCIA

Wzrost. Dane co do przyrostu długości nie są tak dokładne i ścisłe, jak dane dotyczące wagi ciała. Długość (wysokość) dziecka bywa bardzo rozmaita. Normalnie noworodek waży 3,25 kg. ma przeciętnie 50 centymetrów długości, rośnie szybko i, w pierwszym miesiącu wyciąga się o 4 cm., w następnych o 3, 2 i 1 cm.

W pierwszym roku zyskuje na długości 20 cm. w drugim—10 cm. ma więc w końcu pierwszego roku 70, a w końcu drugiego 80 cm. długości,

Krzyk niemowlęcia. Zrozumienie krzyku niemowlęcia jest bardzo ważne, gdyż krzyk jego jest wyrazem jego potrzeb, dolegliwości i bólu.

Dziecko rodzi się z krzykiem—krzyk ten stoi w związku z pierwszym głębokim wdechem noworodka. W pierwszych dniach po urodzeniu dziecko powinno krzyczeć gdyż wtedy dobrze oddycha. Nie należy zanadto dowierzać noworodkom zbyt cichym. Dzieci, głodzone bardzo często przestają krzyczeć i wpadają w stan odrętwienia, a niedoświadczona matka cieszy się, że się dziecko uspokoiło. W tym wypadku, jak zresztą i w wielu innych, dokładne kontrolowanie wagi wysysanego pokarmu może oddać nieocenione usługi.

Niektóre niemowlęta śpią w dzień, a krzyczą w nocy; nie odróżniają one jeszcze światła i ciemności, trzeba je przyzwyczajać stopniowo do spania w godzinach wskazanych.

Bywa też, że dziecko przez pierwszą połowę nocy śpi spokojnie. zaś potem krzyczy bez przerwy. Jeżeli niemowlę takie wogóle nie dobrze, przybiera normalnie na wadze, to prawdopodobnie jest mu zimno. Każdy prawie odczuwa ochłodzenie powietrza o wschodzie słońca, niemowlęta na to oziębieniu są wrażliwsze. W takim wypadku wystarcza ogrzać dziecko np. za pomocą butelki z gorącą wodą, aby je uspokoić odrazu i doprowadzić do zaśnięcia.

Dziecko krzyczy, spowinięte zbyt mocno, gdy jest niewygodnie ubrane, gdy mu mokro, gdy je coś gryzie i t. p. Niekiedy dzieci są niespokojne i krzyczą w czasie wyrzynania się ząbków—nie należy jednak, jak to się często zdarza, składać zbyt wiele na karb zębów.

Krzyku z głodu właściwie nie bywa. Dziecko głodne mruczy,

gniewa się, źle sypia, ma mało wypróżnień, lub ma stołeczki zaparte, ale nie krzyczy. Natomiast krzyczy dziecko łakome, żarłoczne. Niejedna matka z krzyku po nakarmieniu wnioskuje mylnie, że dziecko jeszcze jest głodne, że trzeba je dokarmić. Niestety po takim dokarmieniu niemowlę, nietylko nie uspakaja się, lecz przeciwnie, krzyczy jeszcze bardziej. Dopiero waga wykrywa istotną przyczynę krzyku: przekarmienie dziecka.

Istnieje nadto cały szereg stanów chorobowych, którym towarzyszy krzyk o specjalnym charakterze, umożliwiający niekiedy rozpoznanie i usunięcie przyczyny złego, lecz sprawy te wchodzą już w zakres leczenia i rozpoznanie tych objawów należy pozostawić lekarzowi.

A. K.

DEKOROWANIE PÓŁMISKÓW

Kiedy chodzi o pieczone, to właściwie ładnie upieczony indyk czy pularda, są same przez się tak apetyczne, że szkoda je psuć jakimiś dodatkami, co najwyżej można ich nóżki pozawijać fryzowanym papierem i przyozdobić półmisek paru pęczkami zielonej sałaty, rozbeł i polędwicę otacza się garniturem jak sztukmiesza, toż samo można powiedzieć o schabie; ciętłcina i baranina pieczona mogą być obłożone ładnie rozmieszczonymi kartofelkami, — sosy zawsze się podaje oddzielnie, nieco zieleni jest zawsze pożądaną. Inaczej jest ze zwierzyną. Nie mówię już o dużych sztukach, cąber sarni lub jeleni, podawany na bardzo wykwinnych przyjęciach, powinien być bogato udekorowany pieczarkami, pomidorami faszerowanymi, rozmaitemi jarzynkami duszonymi w maśle, sałatami i t. p. — nie użyjmy tylko w zapędlie zdobniczym — raków, które tylko do ryb używamy, — lub do potrawy z rakowym sosem. Jarzabki i kuropatwy najładniej jest podać całe, lub przerabane na połowę, kładąc pod każdą połowę ładnie zrumienioną grzankę tegoż co ptaszek rozmiaru, lub okładając półmisek mniejszymi nieco grzankami. Słoninę w którą ptaszki były owinięte układa się na grzankach, zakończyć ozdabianie półmiska można paru pęczkami zielonej sałaty (ptaszki te jada się przeważnie zimą) lub chociaż jarmużu.

Bardzo ładnym podaniem ptaszków jest ułożenie ich, a raczej przypięcie srebrnymi rożenkami do

piramidy z osmażonego czarnego chleba, dół półmiska zapełnia się wtedy sałatą, jest to podanie wystawne, — sos i kompoty podaje się oczywiście oddzielnie.

Drobne ptaszki, bekasy, kwiczoły, słomki, pieczone w całości podaje się na grzankach, przykrywając słoninką, w której się piekły, półmisek się otacza obficie sałatą lub rantem z ugotowanego na sypko ryżu.

Bażant, cietrzew i głuszc mają swoje prawa, — chcąc je podać elegancko — podaje się je w pierzu. Ogon, skrzydła i głowa ptaka starannie umyte i osuszone w ciepłą umontowuje się na drutach, robi podstawę wysokości 15 centymetrów z czarnego chleba osmażonego w tłuszczu, przypina głowę i ogon po obu końcach, a skrzydła rozpostarte ku górze po obu bokach podstawy, upieczony i zręcznie pokrajany ptak idzie w środek, powinien być tak ułożony, aby piersi były na górze. W domach, gdzie często bażanty i cietrzewie tak podają, są już raz na zawsze przygotowane i wysuszone pióra, głowy z wprawionymi oczyma, ogony ładnie wygięte.

Robiąc takie danie należy uważać, aby dobrze ususzyć w piecu szyję i skrzydła, gdyż bez tej ostrożności użyte mogłyby nie miły zapach wydawać.

Bażanty, cietrzewie i głuszce podaje się w pierzu tylko na paradnych występach — do zwykłego, codziennego użytku traktuje się je jak pularde lub indyka i podaje ubrane sałatką zieloną, z łapkami zawiniętymi w ładne papilotki.

Kaczki i gęsi, chociaż dzisiaj po wojnie, podawane i przy większych występach kulinarnych, należą właściwie do gospodarskiej kuchni i podaje się je zwykle otoczone wieńcem pieczonych jabłek lub duszonej z jabłkami słodkiej, czy kwaśnej kapusty.

Przejdziemy teraz do jarzyn. Zaczę przedewszystkiem od gorącego protestu przeciw zaprawianiu jarzyn mąką, cukrem i t. p. Jarzyny są najsmaczniejsze ugotowane w wodzie z solą i oblane świeżym masłem. Przy oszczędniejszym podaniu wkłada się kawałek masła do rondelka, potrząsając nim aby się masło równomiernie rozeszło i wykłada jarzynę w ładną piramidkę, okładając ją wkoło garniturem, lub, jeżeli sama jarzyna ma być podana jako garnitur okłada się mięso, lub rybę, do której ma służyć, — o czym już mówiłam wyżej.

Z poszczególnych jarzyn szparagi po ugotowaniu, o ile się nie

ma specjalnej kratki platerowanej którą się ustawia na półmisku i na niej kładzie szparagi — najlepiej jest podać na serwecie złożonej w kilkoro, wkoło półmiska może być nieco zieleni, pietruszki lub sałaty, masło z bułeczką, sos holenderski czy inny podaje się oddzielnie w sosjerce.

Kalafiory należy po ugotowaniu ułożyć na półmisku tak, aby wyglądały jak jedna olbrzymia głowa i połać po wierzchu obficie bułeczką z masłem. Podając kalafiory z jakimś sosem nie garniruje się ich niczem.

Drobne jarzyny jak groch, fasolkę, marchew, brukiew, najładniej jest ułożyć w kopułę po środku półmiska, jedynym ich dodatkiem powinny być jadalne garnitury: ładnie zrumienione grzanki, kotleciki z mózdzku i t. p.

Salsefję (zimowe szparagi) i kardy podaje się jak szparagi, karczochy po ugotowaniu w całości układa się w piramidkę na pokrytym serwetą półmisku, sosy lub masło podaje się w sosjerce.

Przy podawaniu jarzyn mieszanych, układa się je w równą gwiazdę na okrągłym półmisku. Ładnie jest przedzielić paskami kruchego ciasta upieczonymi w rodzaju kratki lub płotka.

Takie płotki ustawia się na półmiskach przyklejając za pomocą kawałka masła i między nie wkłada poszczególnie jarzyny.

Jeszcze jedna uwaga: nie należy marchewki ani brukwi krajać zbyt drobno, traci smak i wygląd, młodą marchewkę, karotkę podaje się oczywiście w całości. Szpinak, wszelkie grzyby duszone w śmietanie, najlepiej jest podać w głębokiej, platerowanej nelsonce, wygląda to najbardziej elegancko. O ile szpinak ma być podany

z jajkami, omletem i t. p. należy go ułożyć na głębszym półmisku a garnitury wkoło, nie na brzegu półmiska, jednak, lecz na samym już szpinaku, toż samo się robi z grzankami.

Co do legumin to całe ich katering jak suflety budynie gotowane na parze, keksy i inne gorące wprost z pieca lub rondla podawane, z obawy, aby nie opadły z natury rzeczy nie dają się dekorować, brak na to czasu.

Omlety i budynie angielskie ślicznie wyglądają, jeśli je w chwili podania połać kieliszkiem rumu lub araku, zapalić i taki płonący podać na stół, na smak to źle nie wpływa, przeciwnie plum — pudingowi naprzykład nadaje specjalny, miły aromat.

Wszelkie zimne leguminy ryże, sago, kaszki drobne ubrać należy różnymi konfiturami i owocami z kompotów.

O ile te leguminy są podawane z bitą śmietaną, na ładnie w kopułę ułożonej leguminie kładzie się warstwę bitej śmietany i dopiero tę śmietanę dekoruje różnokolorowymi konfiturami.

Ładnie też wygląda jeśli leguminę się ułoży w piramidkę w środku półmiska, a otoczy rantem ryżu, kaszki, kasztanów tartych i t. p. w każdym razie dekoracja z konfitur jest pożądana.

Kremy, lody, i galarety po wyrzuceniu na półmisek okłada się lekkimi biszkoptami, makaronikami, wafelkami lub innymi wykwiintnymi herbatnikami.

Oprócz tego eleganckiem podaniem galaret jest zastudzenie ich wprost w szklaneczkach (szampankach) lub w płaskich kieliszkach do szampańskiego. W obu wypadkach można w środku zalać galaretą jakiś owoc świeży lub konserwowany, co w przezroczystej galarecie ślicznie wygląda.

Lody z formy otacza się też wafelkami, wiórkami migdałowymi lub innymi lekkimi herbatnikami, doskonałe są też do tego białkowe bezy.

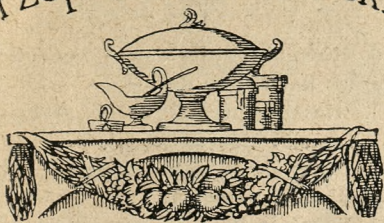
Lody najładniej wyglądają, jeśli kilka gatunków, naprzykład czekoladowe, poziomkowe i śmietankowe po zrobieniu ich w poszczególnych maszynkach ułoży warstwami w jednej i razem jeszcze zamrozi. Po wyrzuceniu taka piramida ślicznie wygląda.

Nie potrzebuję chyba mówić, że wszelkie roślinne dekoracje, wszelkie sałatki i pietruszczki — chociaż jadalne — już nie mówiąc o niejadalnych kwiatach, — przy leguminach są wykluczone.

Pani Elżbieta.



Przepisy gospodarskie



KONFITURY

Chociaż już zeszłego lata dużo pisałam o smażeniu konfitur, jednak nowe czytelniczki Bluszczu a przybyło ich całe legjony wciąż domagają się przepisów tego rodzaju. Uważając konfitury za najmocniejszą i najtrwalszą konserwę owocową — w dodatku wobec względnej, taniości cukru dla wszystkich dostępną, a dla dzieci i rekonwalescentów szczególnie zdrową, wracam tego lata do starego tematu. Nie mam zamiaru jak to uczyniłam w roku zeszłym dawać wszystkim mi znanych sposobów smażenia wszelkich owoców, mam zamiar w miarę nadchodzenia sezonu jakiegoś owocu dawać sposoby jego konserwowania, przyczem w niektórych przepisach mogą zajść małe zmiany wywołane doświadczeniem przeszłego roku.

Rumbarbarum. Konfitura ta, szczególnie, zdrowa dla osób, o trudnem trawieniu, skłonnych, do obstrukcji, jest u nas mało znana a ze wszech miar zasługuje na rozpowszechnienie. Najgrubsze, jasne lodygi oczyścić starannie z włókien, pokrajać w kawałki rozmiaru niedużego włoskiego orzecha. Na kilo rumbarbarum bierze się półtora kilo cukru. Trzecią część tego cukru zagotowuje się na ulep, biorąc na kilo cukru półtorej szklanki wody. Rumbarbarum ułożone w głębokiej salaterce, lub wazie, zalewa się zaledwie letnim syropem. Po dwunastu godzinach ulep się zlewa, dodaje połowę pozostałego cukru, zagotowuje ponownie i nieco ciepłym już zalewa lodygi, — po nowych dwunastu godzinach powtarza się to po raz trzeci. Ulep z resztą cukru wysmaża się już teraz do należytej gęstości, rzuca na lodygi, zagotowuje raz na mocnym ogniu, zszumowuje, poczem smaży dalej już na bardzo wolnym ogniu, aby lodygi się stały przezroczyste a nie rozgotowały na papkę. Najlepiej jest smażyć konfitury z przerwami, to jest smażyć wolno przez minut dziesięć, a na następne minut przez ten czas dany owoc przesiąka syropem i dochodzi nie rozgotowując się. Gdy syrop zgęstnieje a lodygi staną się przezroczyste wylać je w fajansowe lub porcelanowe naczynie, — nie zapominając

do gotowych już dodać na każde kilo pastylki benzoesu, rozpuszczonej w łyżce gotowanej wody. Gdy konfitury dobrze wystygną składać je w suche porcelanowe lub fajansowe słoje. Kto to lubi, może dodać przy smażeniu nieco pokrajanej, w paski skórki cytrynowej, nie jest jednak niezbędne, gdyż rumbarbarum ma własny, lekki aromat, po usmażeniu przypominający ananas. W taki sposób się smaży konfitury wykwitniejsze. Do codziennego użytku, do smarowania na chleb lub przekładania kruchych ciastek można użyć mniej grube i piękne lodygi i znacznie zmniejszyć ilość cukru. Funt cukru na funt lodyg starczy zupełnie, a nawet chcąc mieć kwaśniejszą marmeladę, można brać trzy ćwierci cukru na funt lodyg. Zalewania w celu zachowania kawałków lodyg w całości, też można zaniechać.

Natomiast przy smażeniu należy często mieszać łyżką od dna, aby się marmelada nie przypaliła. Benzoesu należy dodać w takiej samej proporcji, to jest pastylkę na kilo konfitur. Takie gęste konfitury, czy marmeladę składa się w fajansowe, lub kamienne garnki, jeszcze gorące, po zastygnięciu dopiero zawiązuje się garnki pergamiem lub woskowym papierem. Kto robi dużo ciast przekładanych owocową marmeladą, powinien się zaopatrzyć w większy zapas tej konserwy, Agrest, od czasu jak panuje amerykańska zaraza pleśniowa, jest tak drogi, że można go tylko na wykwitniejsze konfitury nabyć, a jabłka dopiero jesienią przychodzą.

(c. d. n.)

Pani Elżbieta.

Korespondencje działu praktycznego

P. E. B. w Krasnej.

Mrówki tępić można następującymi sposobami. Gąbkę, umocowaną w occie i posypaną cukrem, położyć, a gdy obsiądą, prędko zanurzyć w wodzie, aby się poto-

piły. Można także w miejscu gdzie się najczęściej schodzą, porozkładać kawałki węgla drzewnego, a wyniosą się. Jeszcze łatwiej pozbyć się ich od zapachu tytoniu i terpentyny których nie znoszą. Rozłożyć tytoń w paru miejscach, gdzie ich jest najwięcej, lub posmarować terpentyną nogi sprzętów w mieszkaniu, a szybko znikną. Można jeszcze rozłożyć szmaty nasączone: naftą, terpentyną lub kamforą, gniazda zaś zniszczyć, polewając ciepłym rozcieńczonym alunem.

Dla ochrony rąk przy gospodarstwie i pieleniu w ogrodzie, kupić trzeba specjalnie do tego celu wyrabiane, rękawiczki gumowe. Dostać je można w większych składach aptecznych w Warszawie.

Pani J. P.

Poduszka w irisy może być położona na tle z jedwabiu, lub satyny lila, albo żółtej, zresztą na każdym innym kolorze, który będzie pasował do danego pokoju. Wykończyć ją można albo falbaną, chociaż to dzisiaj już mniej modne, albo riuszą, t. zw. wodą z tego samego opalu, czy batystu, na którym będzie wyhaftowana. Jeżeli ma być zrobiona na szarem płótnie, to można wykończyć sznurem ukreślonym z szarej bewelny, albo wysoką na trzy palce, podwójną, skośną falbanką z tejże satyny, co tło.

Kapy na poduszki najładniej wyglądają z falbanami, zakończonymi koronką, lub obrębem мереżkowym — Ozdobić je można мереżką lub haftem.

P. Halina J. w Oporowie.

Tort wiedeński z kremem. Funt masła utrzeć na śmietanę, dodać funt cukru i ucierać dalej, wbić, wciąż ucierając, po jednym sześć jaj i dodać pół funta słodkich i 20 sztuk gorzkich migdałów, w pierw sparzonych, oczyszczonych i utłuczonych jak najdrobniej, Zrobić z papieru czerem równo krążki rozmiaru bardzo dużego talerza, posmarować je lekko masłem, na to równo ułożyć masę tortową i upiec w piecu do lekkiego zrumienienia. Z gorących jeszcze zdjąć papier i dać im zastygnąć. Pół funta śmietankowego masła utrzeć na śmietanę, dodać pół funta cukru (pudru) i wbić po jednym osiem żółtek, wciąż masę wycierając. Gdy przybędzie jej drugie tyle, wlać filizankę od kawy ostudzonej, bardzo mocnej, aromatycznej kawy i utrzeć jeszcze do gładkości Tym kremem przełożyć krążki tortowe i posmarować tort po wierzchu i naokoło. Kilkanaście oczyszczonych migdałów pokrajać w cieniułchne paski

DR. MED.

J. ŚWITALSKA

Choroby skórne, kosmetyka, wener.

Wyłącznie dla kobiet od 5—7.

KRUCZA № 31, mieszkania 3.

Telefon 102-77.

i osypać niemi tort po wierzchu dla ozdoby.

Nie znam niestety tortu pomadkowego. Pomadki cukiernicze robi się w sposób następujący. Kilo cukru zagotować ze szklanką wody, próbować biorąc kroplę syropu na widelec i dmuchając nań, gdy się ciągnie w nitki, odstawić i ucierać łyżką lub wałkiem drewnianym i wciskać sok z całej cytryny.

Gdy zaczną gęstnieć i zbieleje dodaje się jakiegobądź zapachu; olejku migdałowego, cytrynowego, asencji ananasowej itp. i smaruje na ciasto, marcepan czy opłatek. Chcąc mieć pomadkę różową zabarwia się ją koszenilą lub jakim barwnikiem roślinnym i aromatyzuje esencją malinową, poziomkową czy różaną. „Torty się ubiera lukrem ponczowym, kremem o różnych zapachach w rodzaju podanego wyżej, przyczem ozdoby wyliciska się przez tutkę papierową z uciętym końcem, na koniec wszelkimi owocami smażonymi i konfiturami.

Prenumeratorce z Wołynia.

Ze świeżo zabitego cielęcia bierz się żołądek przez kucharzy i rzeźników ślaskiem zwany, płucze i myje się go doskonale, moczy trzy do czterech godzin w owocowym occie, poczem się płóczy go dokładnie w serwatce, naciera wewnątrz i zewnątrz solą i rozpi-na na koniec na cienkich patyczkach na krzyż ułożonych. Tak spreparowany żołądek cielęcy suszy się na wietrze i przechowuje w suchym miejscu. Na cztery godziny przed zaczęciem wyrobu sera żołądek taki wkłada się do paru litrów serwatki i z nią razem stawia w ciepłe miejsce.

Serwatka taka zwie się podpuszczką i wlewa się do mleka dla ścięcia go na twaróg. Jednego takiego brzuszka można użyć trzy razy, tylko po użyciu należy go ponownie posolić i dobrze wysuszyć.

Pani Czesława B.

Znam tylko przepis sorbetu różanego. Listki z dopiero co rozpuszczonych róż różowych, centyfolji poodcinać, pozostawiając przy gałązce żółte ich końce. Zważyć tych liści pół funta, włożyć w makućkę, wcisnąć sok z dwóch cytryn, wsypać funt cukru i ucierać nowym, drewnianym wałkiem, aż się zrobi jednolita, gładka masa i ani śladu listków różanych nie pozostanie. Z dwóch funtów cukru

i szklanki wody ugotować ulep, wrzucić na to różaną masę i smażyć, próbując w sposób następujący: umaczać srebrny widelec w masie i dmuchnąć nań, jeżeli na końcu widelca ukaże się nitka, przelać masę napowrót do makućki i ucierać wałkiem aż zgęstnieje i zbieleje.

Nie dając ostatecznie wystygnać nakładać w małe słoiki, w których stwardnieje jak pomadka.

Pastyłki benzoesowe wyrabia w Warszawie firma L. Spiess i można je dostać tutaj w każdej drogerji i składzie aptecznym. Mieszkając na prowincji najlepiej je wypisać wprost od L. Spiessa. Jest to artykuł bardzo tani i środek konserwujący wprost nadzwyczajny, — od lat sześciu go zaczęłam używać i od tego czasu ani jeden słoik konfitur, ani marynat mi się nie zepsuł.

* * *

Redakcja „Bluszczu” odpowiada stałym Czytelnikom na wszelkie pytania, dotyczące życia domowego, gospodarstwa, mód, robót i t. d. Listy należy adresować do redakcji działu praktycznego, załączając znaczek pocztowy na odpowiedź i dokładny swój adres.

Na listy anonimowe, względnie bez adresu, Redakcja odpowiadać nie będzie.

Odpowiedzi są załatwiane kolejno a wobec wielkiego napływu listów nie zawsze mogą być umieszczone w najbliższym numerze „Bluszczu”.

T A B E L K A przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Opis sukien i robót do Nr. 22.

370. Kostjum z fioletowej popeliny — kołnierzyk haftowany do cieniu.

371. Kostjum flanelowy w granatowe paski — guziki ciemno granatowe.

372. Kostjum z wełny w kratę — kołnierzyk gładki sukienny.

373. Suknia taftowa — staniczek bronzowy w kratę koloru beige. Kołnierzyk i spódniczka — beige.

374. Suknia spacerowa z granatowej gabardiny. Kołnierzyk i dół haftowane na popielatem suknie.

375. Sukienka dla młodej panienki z płótna merceryzowanego, koloru lila — wyszywana nitką tegoż koloru w tonie ciemniejszym.

376. Suknia balowa z crêpe de chine'u koloru pervenche — ubierana różami z charmeuse'y koloru saumon.

377. Suknia wizytowa koloru starego złota z materji świecącej, przybrana wolantami z koronki w jaśniejszym tonie.

378. Suknia z barwnej materji — obłożona plisami z charmeuse'y — kokarda z wstążki koloru harmonizującego z deseniami materji.

379. Wzór na kapkę na wózek dziecięcy. Wielkość naturalna 66x100 ctm.

UWAGA: Powiększone wzory robót, umieszczonych w Dodatku Mód, można nabywać w Administracji „Bluszczu” po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Kroje modeli umieszczonych w Dodatku Mód dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: palto lub suknia fantazyjna. zł. 3.50
suknia zwyczajna 2.50
bluzka 2.00
formy dzieciinne 2.00
bielizna 1.50

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy uskuteczniać na blankietach czekowych P. K. O.